Nr. 22 (1066). Warszawa, dnia 19 Maja (1 Czerwca) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

W DELEGACYACH.

Od dnia 20 z. m. zasiadały w Wiedniu konstytucyjne delegacye obu połów monarchii austro - węgierskiej. Rola główna, mówcy czy wieszczbiarza, mającego wszystkich zadowolić, odgrywana corocznie przez kanclerza lub ministra spraw zagranicznych monarchii, dostała się jeszcze i w tym roku p. Gołuchowskiemu, który przewidywania zawodzi, wątroby ludziom o cierpienia przyprawia, a na stanowisku swojem trzymać się nie przestaje. Jeżeli samo to stanowisko otoczone jest zewsząd głębokiemi rozpadlinami, przypominającemi w niektórych punktach niebezpieczne przepaści, o roli, przypadającej rok w rok człowiekowi, stanowisko to zajmującemu, powiedzieć trzeba, że jej bez dyalektycznego artyzmu odegrać niepodobna, z jakiem takiem zadowoleniem opinii nietylko gawiedzi politycznej, ale i „sfer decydujących.“ Trzeba być dobrze podkutym, aby się nie przewalić, nie nadużyć ogólników, nie pominąć szczegółów, faktów i stosunków konkretnych, które w polityce same wyłażą i nie dają się czczem krasomówstwem ani zażegnywać, ani zaspakajać. Słucha cała Europa—ale słucha też i cały parter austryacko-węgierski, złożony z publiczności, która przecież skacze sobie do czupryn. Wszystkich zadowolić, a przynajmniej nikogo nie obrazić, gdy obraza w powietrzu się unosi — jest to i kunszt duży i męka niemała.

P. Gołuchowski w tym roku mówił może nawet z silniejszem postanowieniem powiedzenia czegoś, coby było rzeczywiście wyrazem polityki austryackiej, aniżeli w latach poprzednich. Zamiar taki uderza głównie w całym wywodzie, dotyczącym państw bałkańskich. Bulgarya otrzymała bardzo dobitną przestrogę, że wichrzycielstwem do niczego nie dojdzie, a sprawy półwyspu wogóle rozwiążą się polubownie. Wielkim podpalaczem na półwyspie jest kwestya macedońska, a winnym jej niebezpiecznego ukształtowania się sam rząd bulgarski, który przecież teraz już nie zbacza z drogi rozsądku i prawdopodobnie na niej wytrwa. Gdyby Turcya zaprowadziła reformy w zarządzie Macedonii, sprawa byłaby uproszczona. Nad położeniem całem panuje porozumienie się z Rosyą w r. 1897. Nie był to ani traktat ani zgoła jakaś formalna umowa, było tylko wyjaśnienie sobie wzajemne stosunków i stanu rzeczy na półwyspie: i to już wystarcza od czterech lat do zapobiegania złemu. Dawniej oba mocarstwa usiłowały wpływami swymi wzajemnie sobie szkodzić: teraz oba wspólnie pracują nad pokojem. Niema mowy o oddzielnych sferach wpływu, bo takie sfery właśnie oddaliłyby od celu. Gdyby nie porozumienie się z r. 1897, znalazłby się mogła monarchia w położeniu wcale niepożądanem. Rząd jej pragnie szczerze iść dalej drogą raz utorowaną — aż do owego polubownego rozwiązania. P. Gołuchowski tego nie powiedział, ale powiedziały same myśli, ciągnące się w jego mowie. Powiedziały nawet coś więcej: monarchia liczy na to, że z czasem i sfery wpływu będą się musiały wydzielić, ale wtedy już, kiedy wydzielenie się ich owemu polubownemu rozwiązaniu niczem nie zagrozi.

Podstawę polityce austro - węgierskiej daje przymierze z Niemcami i Włochami, a przyjazne pożycie z innemi mocarstwami, zwłaszcza z Rosyą. Z powodu Albanii Włosi narzekają na Austryaków, Austryacy na Włochów; jest to naturalne, ale nie groźne. Monarchia bez niechęci widziałaby porozumienie się Włoch z Francyą i wogóle zespolenia się zewnątrz przymierza nie naruszają tej równowagi, której myśl kierująca polityką dla siebie potrzebuje. Przymierze potrójne usiłowano plotkami podać w podejrzenie; ale ono stoi i stać będzie. Gdy w tem miejscu przypomniano p. Gołuchowskiemu brutalne wydalania z Prus, przyznał, że było tylko pięćdziesiąt wypadków, nie więcej, a w tej liczbie i takie, które sprowadziły się do współzawodnictwa w pracy zarobkowej. W Kole wiedeńskiem odezwały się głosy wielce nieprzyjazne przymierzu; najzyczliwsi nawet, jak poseł Popowski, doskonale ogarniający położenie, uznali je tylko za złe konieczne. P. Gołuchowski milczał; gdy go wzywano do upomnienia się, nie miał nawet tej energii, jaką już raz wobec tożsamych interpelacyj okazał. Zapewne,

miał słuszność, gdy mówiąc o traktatach handlowych, powiedział, że nie można dla nich poświęcać interesów politycznych; miałby ją, gdyby tę zasadę zastosował do danego wypadku: nie to przecież jest jego winą, że odrazu teraz nie chce dawać p. Bülowowi zimnych natrysków, lecz to, że przyzwyczaił sprzymierzeńca Austryi do letniej, mdłej, ocukrzonej wody i z góry odrazu nie uderzył w ton jedynie odpowiadający godności, a niczem zgoła nie grożący przymierzu. Wyrobił się przez taką bezkrwistość w Berlinie nałóg lekceważenia Austryi w jej obywatelach. Zupełnie słuszny był pogląd na elementy polityki austro-węgierskiej w Chinach. Zapuszczenie się w gęstwiny chińskie byłoby awanturnictwem. Monarchia powinna zaoszczędzać swe siły na chwilę rzeczywistego zagrożenia jej praw, interesów i godności.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Samorząd ziemski w guberniach zachodnich i południowo-zachodnich.

Od wielu już lat poruszano niejednokrotnie sprawę wprowadzenia instytucyj ziemskich w guberniach zachodnich i południowo-zachodnich. Nareszcie ministeryum spraw wewnętrznych w porozumieniu z ministeryum skarbu opracowało projekt samorządu ziemskiego w trzynastu guberniach, który obecnie ocenia komisya osobna, złożona z przedstawicieli różnych ministeryów pod przewodnictwem ministra spraw wewnętrznych. Cały ten projekt streścił *Kijewlanin*, więc, powołując się na to źródło, podajemy główną zasadę reformy.

Oczywiście organizacya, jakkolwiek jest oparta na podstawie urządzeń istniejących już w innych guberniach, różni się jednak znacznie pod wielu względami i skutkiem tego w niektórych szczegółach nosi charakter wyjątkowości.

Samorząd składa się z gubernialnego komitetu ziemskiego, który rozstrzyga sprawy, dotyczące gospodarki ziemskiej. Dalej idą powiatowe komitety ziemskie, które zwoływane będą do roztrząsania ważniejszych spraw, dotyczących gospodarstwa ziemskiego. Wreszcie stworzone będą organy wykonawcze (gubernialny zarząd ziemski i pełnomocnicy ziemscy jako agenci zarządu w powiatach). Do gubernialnego komitetu ziemskiego wchodzą: gubernatorzy, marszałek szlachty, wicegubernator, zarządzający izbą skarbową, izbą obrachunkową, dobrami skarbowemi, stały członek komisyi gubernialnej do spraw miejskich, albo komisyi gubernialnej do spraw włościańskich, prezes i członkowie gubernialnego zarządu ziemskiego, prezydent miasta gubernialnego i radni ziemscy, po jednym lub dwu z każdego powiatu, co zależy od uznania ministra spraw wewnętrznych. Komitetowi gubernialnemu przewodniczy gubernator.

Oprócz osób powyższych, stosownie do sprawy roztrząsanej, do komitetu zapraszani są z prawem głosu: prokurator sądu okręgowego, deputat od władzy duchownej i przedstawiciel ministeryum oświaty. Ci dwaj biorą udział w sprawach, dotyczących oświaty publicznej. Dalej: inżenierowie gubernialny i starszy, gubernialny inspektor lekarski, weterynarz gubernialny, przedstawiciele: ministeryum wojny, komunikacyj, rolnictwa, dóbr państwa itd. Nadto gubernator ma prawo zapraszać na posiedzenia komitetu z głosem doradczym tych wszystkich, których zdanie w roztrząsaniu danej sprawy będzie uważane za pożyteczne i potrzebne. Minister spraw wewnętrznych mianuje na trzy lata radnych ziemskich z miejscowych obywateli ziemskich i innych osób, zamieszkałych stale w danym powiecie. Przytem wszakże niezbędny jest warunek, ażeby osoby te posiadały w granicach powiatu jakąkolwiek własność (majątek ziemski, zakład przemysłowo-handlowy), opłacającą podatek na potrzeby ziemskie. Każdy radny musi mieć zastępcę. Na każde stanowisko radnego ziemskiego i jego zastępcy gubernator, po porozumieniu się z marszałkiem szlachty, gubernialnym i powiatowym, przedstawia ministrowi spraw wewnętrznych najmniej dwie osoby.

Powiatowy komitet ziemski, pod przewodnictwem powiatowego marszałka szlachty, składa się z wszystkich miejscowych naczelników ziemskich, albo komisarzów włościańskich (t. z. „mirowych pośredników") lub urzędników do spraw włościańskich, wszystkich inspektorów podatkowych, naczelnika powiatu, miejscowego przedstawiciela zarządu dóbr skarbowych, inżeniera drogowego, prezydenta miasta lub gospodarza miasteczka, radnych ziemskich powiatowych (jednego lub dwu), pełnomocników ziemskich powiatu i dwu wójtów, z wyboru gubernatora. Prezes komitetu powiatowego ma prawo zapraszać na posiedzenia osoby inne z głosem doradczym. Gubernialny zarząd ziemski stanowią: prezes i trzech członków. Wszyscy mają być mianowani przez ministra spraw wewnętrznych. Urzędnicy ci muszą posiadać w gubernii majątek nieruchomy, albo — dokładną znajomość warunków miejscowych. Pełnomocników ziemskich, na przedstawienie gubernialnego zarządu ziemskiego, mianuje gubernator.

Do zarządzania majątkiem nieruchomym i różnymi zakładami ziemskimi, wreszcie do obowiązków, wymagających specyalnych wiadomości i uzdolnień, mogą być zapraszani ludzie postronni. Mianuje ich i uwalnia prezes.

Uchwały gubernialnych komitetów ziemskich w pewnych sprawach tudzież wogóle wszelkie postanowienia w wykonaniu, wstrzymane przez gubernatora, rozpoznaje minister spraw wewnętrznych.

W postanowieniach, dotyczących gubernialnego zarządu ziemskiego, są wymienione warunki nast.: sprawy, wymagające orzeczenia gubernatora, powinny mu być przedstawiane osobiście przez prezesa lub jednego z członków zarządu. Obowiązkiem pełnomocników ziemskich (pod zwierzchnictwem gubernialnego zarządu ziemskiego) jest kierunek spraw bieżących na miejscu we wszystkich dziedzinach gospodarstwa ziemskiego, przygotowywanie

Z dziennika Alfreda Dreyfusa.*)

Wyspa Zbawienia. Niedziela, 14 kwietnia 1895 r.

Z dniem dzisiejszym rozpoczynam dziennik mojego nędznego życia, gdyż dziś po raz pierwszy dostałem papier; kartki są poznaczone i ponumerowane, abym żadnej nie mógł zatrzymać, a odpowiedzialny jestem za sposób ich użycia, jak gdybym istotnie miał możność dać je komu.

Dotychczas byłem przekonany, że wszystko, co jest, da się logicznie objaśnić; wierzyłem także w sprawiedliwość ludzką, a rzeczy nadzwyczajne i niezwykłe były dla mnie prawie niezrozumiałe. Dziś w proch się rozsypały moja ufność i moja wiara w zdrowy rozum ludzki.

Jakież straszne miesiące już przeżyłem i ile podobnych jeszcze mię czeka!

Była chwila, po zapadnięciu wyroku, że chciałem odebrać sobie życie. Gdy cześć nasza nadewszystko nam jest drogą, a jesteśmy oskarżeni o najnikczemniejsze przestępstwo dlatego, że znalazł się kawałek papieru, zapisany pismem podobnem do naszego lub naśladującem nasze, to trzeba sił nadludzkich, ażeby znieść taką niesprawiedliwość. Lecz żona moja, niezachwiana w miłości, nieulękła w męztwie, zdołała mię przekonać, że właśnie dla tego, iż jestem niewinny, powinienem wytrwać na stanowisku. Ja sam to czułem, lecz bałem się — wyznaję szczerze — bałem się tych moralnych udręczeń, które mię czekały. Fizycznie byłem dość silny a czystość mego sumienia dawała mi moc nadludzką. Lecz te udręczenia, których się lękałem, okazały się gorsze, niż przypuszczałem: dziś jestem człowiekiem złamanym na duszy i na ciele.

Uległem gorącym błaganiom żony i, uzbroiwszy się w męztwo, postanowiłem żyć. I oto zaraz na wstępie, musiałem się poddać najstraszniejszej karze, jaka żołnierza dotknąć może,—karze stokroć boleśniejszej, niż sama śmierć. Przeszedłem krok za krokiem tę drogę boleści, która z więzienia la Santé zawiodła mię aż tu, zniosłem spokojnie zniewagi i wrzaski mściwego tłumu, ale za każdym krokiem zostawiłem kawałek mego serca.

Sumienie, rozsądek mówiły mi: prawda zwyciężyć musi. Ale każdy następujący dzień przynosił nowe rozczarowanie. Światło się nie ukazywało i robiono wszystko, co było można, aby zajaśnieć nie mogło.

Trzymano mię w najzupełniejszem odosobnieniu, moje listy czytano, kontrolowano i często ich nie doręczano, z żoną nie pozwalano porozumiewać się co do sposobów osiągnienia naszego celu: uniemożliwiono mi wszelką obronę.

Sądziłem zrazu, że, znalazłszy się na wygnaniu, odnajdę jeśli nie spokój — który tylko ze czcią mógłby mi być wrócony — to przynajmniej jakieś dla ducha ukojenie w codziennem życiu. Nowe, gorzkie złudzenie.

Po czternastu dniach podróży w zamkniętej klatce trzymano mię w zatoce wyspy Zbawienia na upale tropikalnym przez cztery dni jeszcze w celi, bez pozwolenia wyjścia nawet na pokład.

Doznawałem takiego wrażenia, jak gdyby mózg miał mi się rozpłynąć. Rozpacz niewypowiedziana ogarnęła całą moją istotę.

Po wylądowaniu wprowadzono mię do więzienia, którego okna były zasłonięte. Do nikogo nie wolno mi było słowa powiedzieć. Sam byłem ze swemi myślami, strzeżony jak kajdaniarz.

Tak zamknięty w mej celi, przebyłem jeden długi miesiąc, nie wychodząc na świeże powietrze. A przecież w czasie podróży o mało nie wyzionąłem ducha. Wielokrotnie byłem bliski obłędu. Miałem uderzenia do głowy, a życie wydawało mi się tak straszne, że pragnąłem umrzeć, gdyż nie mogłem przyjmować pokarmów, umarłbym więc śmiercią naturalną, nie podniósłszy ręki na siebie, a taka śmierć byłaby dla mnie wyzwoleniem, końcem mych cierpień.

I tu jednak uratowało mię wspomnienie

*) Podajemy wyjątki z książki, która pod tytułem „Pięć lat mojego życia" ma się ukazać jednocześnie w językach francuskim, niemieckim, angielskim, hiszpańskim, włoskim, węgierskim i rosyjskim. Ten opis strasznych dni, przebytych na wyspie Dyabelskiej, Dreyfus poświęca żonie.

spraw do rozstrzygania w powiatowym komitecie ziemskim tudzież wykonywanie zleceń osobnych gubernialnego zarządu ziemskiego.

Pod kierunek ziemstw przechodzą zakłady lecznicze i dobroczynne. We wszelkich szpitalach wiejskich ziemstwa wszyscy mieszkańcy gubernii leczeni są bezpłatnie; w innych zakładach opłata, w razie jej ustanowienia, powinna być pobierana według taksy, zatwierdzonej przez ministeryum spraw wewnętrznych. Na posiedzenia gubernialnych i parafialnych rad szkolnych lub innych instytucyj, mogą być zapraszani, z prawem głosu, prezes lub jeden z członków gubernialnego zarządu ziemskiego; rozumie się tylko w takich razach, gdy chodzi o sprawy, dotyczące zakładów naukowych, utrzymywanych lub popieranych pieniężnie przez ziemstwa. Na posiedzenia wydziałów parafialnych rad szkolnych mogą być zapraszani, również z prawem głosu, pełnomocnicy ziemscy, wyznaczeni przez gubernialny zarząd ziemski.

Z chwilą urzeczywistnienia projektu ziemstwa w guberniach zachodnich i południowo-zachodnich mają być zarządzone następujące zmiany: Będą zniesione urzędy dobroczynności publicznej, a należące do nich kapitały, zakłady, tudzież wszelkie nieruchomości będą oddane nowym organom gospodarstwa ziemskiego. Wejdzie w życie nowa ustawa zakładów leczniczych zamiast zatwierdzonej w czerwcu 1893 r. Do czasu przejrzenia obowiązujących etatów i planów w dziale lekarskim i weterynaryjnym na wsi, tudzież w zakładach dobroczynnych i leczniczych, które są obecnie pod zarządem rad dobroczynności publicznej, wszystkim urzędnikom zachowane będą prawa i przywileje. Komitet ziemski, przy układaniu budżetów, będzie miał prawo, w razie potrzeby, zwiększać liczbę posad tudzież wyznaczać wynagrodzenie dodatkowe. Komitetom gospodarczym oddać sprawy dotyczące układania budżetów specyalnych ciężarów szlacheckich. Przy departamencie gospodarczym ministeryum spraw wewnętrznych należy utworzyć centralny komitet ziemski, pod przewodnictwem dyrektora departamentu gospodarczego, do którego wchodzi dwu członków ze strony ministeryum spraw wewnętrznych, a także dwu ze strony ministeryum skarbu. Zadaniem tego komitetu będzie: roztrząsanie projektów budżetów ziemskich i rozłożenia podatków w guberniach, w których nie wprowadzono gospodarstwa ziemskiego. Ocena projektów i planów gospodarstwa drogowego tych gubernij. Roztrząsanie budżetów powiatowych i gubernialnych tych gubernij, w których wprowadzono ziemstwa, w razie zalecenia do wspólnego rozpatrzenia tych budżetów ministeryum spraw wewnętrznych i skarbu. Roztrząsanie wszystkich wogóle spraw gospodarstwa ziemskiego i zarządu, których zatwierdzenie zależy od wzajemnego porozumienia się ministrów spraw wewnętrznych i skarbu. Sprawy dotyczące zarządu i gospodarki ziemstwa, które nie wywołują różnicy zdań, oprócz tych, które wymagają zatwierdzenia rady państwa, czy też komitetu ministrów, uważane będą za rozstrzygnięte ostatecznie przez komitet.

Taki jest projekt organizacyi ziemskiej w bardzo pobieżnem streszczeniu. Był on już raz wniesiony do rady państwa, ale ta nie roztrząsała go wcale. Obecnie zaś komisya specyalna pracuje nad nim pospiesznie, tak ażeby można było wnieść go powtórnie do rady państwa na sesyę jesienną, a następnie w przyszłym roku wprowadzić już w życie.

Prasa rosyjska o nowej organizacyi wypowiada już swoje zdanie, a między innemi na zaznaczenie zasługują uwagi *Now. Wrem.* Podkreśla ono ten szczegół, że zarówno komitety gubernialne tudzież powiatowe, jak i organy wykonawcze, tj. zarządy gubernialne i pełnomocnictwa ziemskie powiatowe, będą powierzone ludziom jedynie mianowanym przez rząd i prawie wyłącznie urzędnikom miejscowych zarządów gubernialnych i powiatowych. „Żywioł nieurzędniczy, w ścisłem znaczeniu obywatelski, ma być wprowadzony do nowej instytucyi w roli doradców. Z tego widzimy, że o wprowadzeniu ziemstw w guberniach nieziemskich niema nawet mowy. Cała reforma sprowadza się do przekształcenia istniejących tam organów biurokratycznych miejscowych zarządów gospodarczych. Tak zwani „radni ziemscy“ w rzeczywistości są tylko rzeczoznawcami, powoływanymi do udziału w roztrząsaniu spraw gospodarstwa miejscowego, bez tych praw, a więc bez tych obowiązków i odpowiedzialności wobec ogółu, jakimi są obarczeni radni w guberniach ziemskich. Ale reforma organów gospodarki miejscowej nadaje im znacznie większe pełnomocnictwo, niż to, z jakiego one korzystały dotychczas. Tym sposobem bodaj najważniejszą stroną reformy projektowanej będzie nadanie większej autonomii miejscowym zarządom gospodarczym w guberniach nieziemskich. Jest to do pewnego stopnia krok ku decentralizacyi zarządu, stworzonej według typu urządzeń biurokratycznych.“

Now. Wrem. zaznacza jeszcze inną rolę instytucyj ziemskich. „Jak wiadomo, w „kraju“ zachodnim jedną z żywotnych spraw państwowych jest zespolenie ścisłe z państwem tych prowincyj, niezupełnie jeszcze zrośniętych z całością. W guberniach północno-zachodnich, a poniekąd i południowo-zachodnich, jeszcze są silne tendencye polskie, szczególnie w warstwie rolniczej, która dzięki swemu wykształceniu i kulturze, posiada wpływ i znaczenie śród reszty ludności. Ta właśnie okoliczność służy za główny dowód przeciwko wprowadzeniu tam instytucyj ziemskich na tych samych zasadach, co w guberniach środkowych. A przecież żadne środki nie mogą dać tak stanowczych i pewnych wyników pod względem zespolenia tych prowincyj z całą Rosyą, jak właśnie wprowadzenie organizacyj ogólnopaństwowych, zwłaszcza takich, w których ludność otrzymuje pewne prawa i przywileje. Już samo zrównanie ludności miejscowej pod względem praw i przywilejów z innymi poddanymi, byłoby potężnym bodźcem do zbliżenia, wytworzenia stosunków przyjaznych, opartych na zaufaniu, zamiast wrogiego nastroju i odsuwania się, jako objawów poczucia krzywdy i praw nierównych.“

„Naturalnie nie idealizujemy rzeczywistości — mówi dalej *Now. Wrem.* — i uważamy za uzasadnione te obawy, które wypowiedziano z powodu projektu wprowadzenia ziemstw w guberniach zachodnich, że żywioły polskie nie omieszkają skorzystać ze swego stanowiska w ziemstwach, ażeby przeciwdziałać dążnościom rosyjskim w kraju. Rozumie się, Rosyanie nie

---

mej żony, pamięć obowiązku względem niej i naszych dzieci: nie mogłem niweczyć jej usiłowań, zostawić jej samej w poszukiwaniu winnego. Pozwoliłem przeto wezwać lekarza, choć widok każdej nowej twarzy był mi nienawistny.

Po upływie trzydziestu dni takiego zamknięcia przewieziono mię nakoniec na wyspę Dyabelską, gdzie czekała mię pozorna wolność. Mogłem za dnia w towarzystwie strażnika poruszać się swobodnie na przestrzeni stu metrów kwadratowych; z nadejściem nocy wprowadzają mię do budynku wielkości czterech metrów kwadratowych i zamkniętego żelazną kratą, przez którą straż może mieć mię wciąż na oku. Straż zmieniają co dwie godziny.

Pilnuje mię pięciu strażników i jeden starszy dozorca. Pożywienie moje składa się z pół bochenka chleba dziennie, 300 gramów mięsa trzy razy na tydzień, oraz mięsa solonego i wędzonej słoniny. Do picia dano mi wodę.

Takie życie pod ciągłą strażą, w nieustającej podejrzliwości jest nie do zniesienia dla człowieka, co cześć swoją ceni nad wszystko na świecie.

Od trzech tygodni nie mam wieści o żonie i dzieciach, a wiem dobrze, że od 29 marca listy dla mnie leżą w Kajennie. Telegrafowałem do Kajenny, następnie do Francyi—niema odpowiedzi.

Jakże gorąco pragnę dożyć tego dnia, kiedy, z zarzutów oczyszczony i do czci wrócony, będę mógł odkryć światu moje cierpienia, ulżyć zranionej duszy. Czy dożyję tej chwili? Wątpię, bo serce mam rozdarte, a zdrowie złamane.

W nocy z 14 na 15 kwietnia 1895 r.

Nie mogę zasnąć. Dokoła mej klatki jak mara krąży straż; skóra swędzi od robactwa, które się na mnie wylęgło, a w sercu rośnie bunt przeciw temu, co znosić muszę, ja, który zawsze i wszędzie pełniłem swój obowiązek. Kiedyż nareszcie będę miał noc spokojną? Może w grobie, gdy ogarnie mię sen wieczny. A dobrze tam będzie nie myśleć więcej o podłości i nikczemności ludzkiej.

W dali, z okna mego widzę połyskające morze, słucham jego głosu jak pieśni czarodziejskiej. Wody jego kołyszą się spokojnie jak niegdyś myśli moje, które dziś posępne są i wzburzone. Te szmery budzą we mnie wspomnienia przeszłości, pamięć szczęśliwych chwil, przebytych z żoną i dziećmi.

Gdzież są moje marzenia młodzieńcze i nadzieje męskiego wieku?

Wszystko już we mnie zamarło, a każdy wysiłek myśli sprawia zamęt w mym mózgu. Gdzież rozwiązanie tej tragedyi? Dziś jeszcze nie rozumiem tego, co się stało. Potępiony, bez jawnego dowodu, na podstawie nędznego świstka!

Cierpienie tak rozstroiło moje nerwy, że najmniejsze, czysto zewnętrzne wrażenie ból mi sprawia.

Poniedziałek, 15 kwietnia 1895 r.

Deszcz dziś leje strumieniami. Na pierwsze śniadanie nic nie dostaję. Strażnicy z litości dają mi trochę czarnej kawy i kawałek chleba.

W przerwach pogodniejszych przechadzam się po tym kawałku wyspy, który dla mnie przeznaczono. Wyspa jest zupełnie pusta, nieurodzajna, rośnie na niej zaledwie parę bananów i palm kokosowych, a wszędzie sterczą skały bazaltowe.

O godzinie 10 przynoszą mi zapasy na cały dzień: kawałek wędzonej słoniny, kilka ziarn ryżu, trochę kawy i mączki cukrowej. To wszystko wrzucam w morze, bo słonina i ryż są niesmaczne, a kawa jakby na żart, niepalona: a przecież wiedzą dobrze, że nie mam jej w czem upalić. Rozkładam ognisko; po wielu daremnych usiłowaniach udaje mi się nakoniec rozniecić ogień, przy którym gotuję sobie wodę na herbatę; z kawałkiem chleba będzie ona mojem śniadaniem.

Jestem już u kresu sił. Nie oszczędzono mi żadnego cierpienia ani moralnego, ani fizycznego. Życie stało się dla mnie zbyt wielką ofiarą. A tam u stóp moich ryczy morze. Piana biała jak mleko pokrywa bałwany, rozbijające się o skały. O, gdybym mógł skoczyć w głąb tych fal i utonąć!

Na obiad miałem znowu tylko kawałek chleba. Strażnicy, widząc, jak jestem osłabiony, dali mi trochę swojej zupy.

Palę bardzo dużo, aby się oszołomić i uspokoić burczenie żołądka. Prosiłem gubernatora Guyanny, ażeby mi pozwolił własnym kosztem sprowadzać z Kajenny pożywienie w konserwach.

powinni się zachowywać ospale w razie wprowadzenia tam instytucyj ziemskich. W prawdopodobnej walce na gruncie narodowościowym Rosyanie mieliby jednak ogromną przewagę w tem, że po ich stronie byłaby i prawda wewnętrzna, i poparcie potężnej władzy. Ale i ta walka mogłaby się toczyć nie inaczej, jak tylko w granicach prawa rosyjskiego, z obowiązkiem prowadzenia wszelkich spraw w języku rosyjskim, państwowym. Zebrania ziemskie i wogóle cała działalność tych instytucyj byłyby codziennym i bardzo skutecznym środkiem wprowadzenia do życia i stosunków miejscowych języka rosyjskiego i rosyjskich zasad państwowych. W ziemstwie rosyjskiem, chociażby ze znacznym udziałem żywiołu polskiego, nie byłoby miejsca na knowania w duchu narodowym polskim. Ale wspólna praca z rosyjskimi żywiołami społecznymi i choćby nawet pewna wspólność interesów pod nieustannem działaniem prawa rosyjskiego i porządku rosyjskiego, niewątpliwie przygotowywałaby grunt dla zbliżenia i rozproszyłaby chłód w stosunkach wzajemnych.“

Paweł Krzyżanowski.

ZWIĄZKI ZWIĄZKÓW.

Można wskazać cały szereg instytucyj społecznych, których koleje życiowe dadzą się bez naciągań wtłoczyć w ową słynną i mglistą formułkę Heglowską, która pomimo iż rozpływa się i psuje pod palcami każdemu badaczowi, narzuca się wszakże na mocy swej uniwersalności dość natarczywie w braku lepszego uogólnienia. Obecnie mam na myśli stowarzyszenia spożywcze, instytucyę społeczną, która wstępuje w nową, doniosłą fazę swej działalności. Ojciec jej, Schultze - Delitsch, gdy mu się urodził wspomniany potomek duchowy, klasnął w dłonie z zachwytu i oświadczył, iż będzie to prawdziwie cudowne dziecko. Wyrósłszy, stanie się ono z pewnością wielkim nieśmiertelnym bohaterem, co zaprowadzi ludzkość, wprawdzie po nieco przydługiej i nudnej 40-letniej wędrówce przez puszczę, do ziemi obiecanej harmonii społecznej. Stowarzyszenia spożywcze bowiem nietylko wychowają człowieka, rozwijając w nim ducha oszczędności i przezorności, ale nadto w połączeniu z innemi stowarzyszeniami tej samej natury usuną wszelkie sprzeczności społeczne, wyleczą do szczętu wszelkie niedomagania i rozwiążą między innemi słynny problemat „kapitał a praca.“ Kto będzie oszczędzał i stanie się członkiem stowarzyszenia spożywczego, ten wcześniej czy później musi stać się kapitalistą i jeśli wszyscy pójdą za tą radą, to najbardziej karkołomne zagadnienie społeczne szczeznie bez śladu.

Pod hasłem tych pretensyonalnych zamiarów powstały w Niemczech pierwsze stowarzyszenia spożywcze, przeciwko którym jednak podniosły się bardzo poważne głosy krytyczne. Stowarzyszenia spożywcze — wołali opozycyoniści — są w najlepszym razie niewinną zabawką, plasterkiem, który nie goi rany, ale osłania jej widok rażący przed okiem naszych bliźnich. W dodatku, umożliwiając tani zakup środków do życia, wychodzą one na korzyść bynajmniej nie członkom stowarzyszeń. Człowiek pracujący bowiem, mając możność opędzenia swych potrzeb codziennych tanim kosztem, miarkuje swoje żądania przy zawieraniu umowy najmu, tak iż w ostateczności zyskuje ten tylko, kto kupuje siłę roboczą, lecz nie ten, co ją sprzedaje. Rozumowanie to sprawiło wrażenie talmudycznego „młota, co kruszy góry.“ Tyle było w nim prostoty i nieubłaganej oczywistości, iż nikt nie śmiał podawać w wątpliwość jego logiki, nieubłaganej tem bardziej, iż wywody panegiryków stowarzyszeń spożywczych, którzy obiecywali sobie, a raczej innym, złote góry po instytucyach hartujących charakter człowieka i apelujących do jego wytrwałości, nietylko ośmieszały się swą dziecinną łatwowiernością i optymizmem, ale budziły podejrzenie, iż były sfabrykowane w sposób nierzetelny dla celów tendencyjnych. To też do połowy ósmego dziesiątka lat stulecia ubiegłego szeregi stowarzyszeń spożywczych rekrutowały się przeważnie z przedstawicieli t. z. stanu średniego, od 1873 r. zaś instytucye te wegetują, ilość ich maleje, a zapał i wiara ich kierowników stygną. Szczęk oręża teoretycznego milknie i ludzie przechodzą stopniowo nad całą kwestyą do porządku dziennego gwałtownych walk okresu praw wyjątkowych. Lecz, dziwna rzecz, wtedy właśnie tu i owdzie zaczynają się wyłaniać stowarzyszenia spożywcze, zakładane przez te warstwy, które instytucya, jak mówiono, mogła wyprowadzić w pole, lecz nie zbawić. Wtedy właśnie powstają czysto robotnicze stowarzyszenia spożywcze i odtąd datuje się niebywały rozkwit opisywanych tu instytucyj. Dziś liczą Niemcy około 1,400 stowarzyszeń spożywczych, obejmujących *milion* członków. Roczny obrót tych stowarzyszeń wynosi 200 milionów marek, a zysk czysty — 20 mil. Instytucye te stworzyły jakby państwo w państwie ze ze swym własnym aparatem rządowym, konstytucyą, działaczami, prądami i zagadnieniami. Pozostawały one wszakże wciąż wiernemi w zasadzie chrztowi teoretycznemu, którego udzielił im ich założyciel, reformator w duchu pokojowym, bez orlich wzlotów myśli i uczucia. Stopniowo jednak w ogniskach tych budzi się duch nowy. Z instytucyj, przykrojonych do potrzeb poziomych elementarno-gospodarczych i trącących zanadto owym mdłym arcynieprzyjemnym zapachem trzeźwego zdrowego rozsądku, przedzierzgają się one w nosicieli zadań wyższych i wstępują w stadyum rozwoju, którego kres znajduje się po tamtej stronie Rubikonu, dzielącego społeczeństwo współczesne od „la cité future,“ że użyję wyrazu Zoli z jego ostatniej powieści „Le travail.“

Stowarzyszenia spożywcze zawdzięczają swe tryumfy racyonalnej organizacyi sprzedaży przedmiotów spożycia. Mogą one ofiarować swe artykuły w dobrych gatunkach, po cenach niskich. Wprawdzie pogoń za dywidendami w wielu wypadkach (jak np. w Anglii) spaczyła ich przeznaczenie, ale bądź co bądź w ogólności myśl pierwotną osiągnięto. Wszakże zakres działalności i klienteli rozszerzał się nieznacznie, dopóki sklepy stowarzyszeniowe musiały, podobnie jak konkurujący z nimi kramikarze, same wszystko kupować. Już zatem warunki współzawodnictwa parły je ku wyrabianiu niektórych przedmiotów na własną rękę i zakładaniu stowarzyszeniowych piekarń, rzeźni i mleczarni. Z natury rzeczy produkcya stowa-

---

Czy ty, najdroższa, myślisz teraz o mnie? Czy odczuwasz moje cierpienia? Jeśli jest na świecie sprawiedliwość, to moja cześć wróconą mi być musi, a winowajca, ten potwór w ludzkiem ciele, ukarany jak należy.

Piątek, 19 kwietnia.

Nie pisałem przez kilka dni. Cały ten czas musiałem walczyć o życie. Do ostatniej kropli krwi bronić się będę. W postępowaniu ze mną nic się nie zmieniło: wciąż czekają nowych rozkazów.

Dziś ugotowałem sobie zupę na mięsie. Sól i korzenie znalazłem na wyspie. Zupa gotowała się trzy godziny, a dym wyżarł mi oczy straszliwie. Listu od żony ciągle niema.

Aby trochę uspokoić stargane nerwy, chciałem się wziąć do rąbania drzewa i poszedłem po siekierę do kuchni. Przy drzwiach krzyknął na mnie strażnik: „Nie wchodzić do kuchni!“. Oddaliłem się w milczeniu i z podniesioną głową. O, gdybyż można zamknąć się w czterech ścianach i nie oglądać żywej duszy! Lecz, niestety, jeść trzeba pomimo wszystko.

Uczę się po angielsku, tłomaczę, ażeby rozerwać myśli, ale mózg tak mam zmęczony, że dłużej nad kwadrans pracować nie mogę.

Poniedziałek, 22 kwietnia 1895 r.

Wstałem o świcie, ażeby wyprać bieliznę, a potem wysuszyć ją na słońcu. Wszystko tu pleśnieje od gorąca i wilgoci. Na przemiany mamy deszcze a potem zaraz straszne upały. Prosiłem komendanta o dwa jakiekolwiek talerze, odpowiedział mi, że niema. Brud dokucza mi straszliwie, ale wytrzymam wszystko dla miłości żony i dzieci.

Powiedziano mi, że mam sobie sam prać bieliznę. Nie idzie mi to łatwo, ale rzeczy wodę przynajmniej zobaczą.

Czuję się coraz słabszym. Czy będę mógł spać w nocy? Wątpię. Osłabienie w połączeniu z silnem rozdrażnieniem nerwowem nie daje mi zamknąć oka. Dręczące myśli uciekają w dal do swoich.

Środa, 10 lipca 1895 r.

Wszelkiego rodzaju udręczenia są teraz na porządku dziennym. Nie wolno mi chodzić dokoła domku, nie wolno siadać pod ścianą od tej strony, gdzie chłodno w cieniu i skąd widać morze. Wprowadzono regulamin, obowiązujący galerników; odebrano kawę i cukier; codziennie dostaję racyę chleba gorszego gatunku, a tylko dwa razy na tydzień 250 gramów mięsa, po za tem mięso w puszce lub wędzoną słoninę. Prawdopodobnie w związku z temi obostrzeniami przestałem otrzymywać zapasy z Kajenny. Nie wyjdę już więc z moich czterech ścian, będę żył o chlebie i wodzie i niech będzie, co ma być.

Niedziela, 14 lipca 1895 r.

Wszędzie powiewa trójbarwna chorągiew, mój znak, pod którym służyłem wiernie i uczciwie. Pióro wypada mi z ręki. Są uczucia, których słowami wyrazić niepodobna.

22 września 1895 r.

Całą noc miałem bicie serca. Czuję się więc bardzo znużonym. Od roku domagam się sprawiedliwości, a dlaczego tej ponurej tragedyi nie rozjaśniło dotąd światło, tego rozum mój pojąć w żaden sposób nie może.

27 września 1895 r.

Często jestem tak zrozpaczony, tak wyczerpany, że najchętniej jak długi wyciągnąłbym się na ziemi, aby nie wstać już więcej. Nie mam jednak prawa umierać dobrowolnie.

7 września 1896 r.

Dziś włożono na mnie podwójne kajdany. Za co? Czyż nie wypełniłem ściśle tego, co było przepisanem? Że ja też w ciągu tej strasznej nocy nie dostałem pomieszania zmysłów. Jaką moc daje sumienie i świadomość obowiązku względem dzieci! Niewinny, obowiązany jestem wytrwać do ostatnich granic. Moich katów pozostawiam ich własnemu sumieniu, niech ono ich sądzi, gdy przyjdzie czas tryumfu prawdy, bo wcześniej czy później wszystko się musi wyjaśnić.

* *

Pod datą 10 września pisze Dreyfus, iż przerywa prowadzenie dziennika, gdyż jest przekonany, że koniec jego się zbliża. W czerwcu 1899 r. zawiadomiono go o wyroku kasacyjnym i powołano przed sąd wojenny w Rennes. Następne wypadki aż do uniewinnienia są wszystkim dobrze znane.

rzyszeniowa byłaby dalszym krokiem na drodze rozwoju spółek spożywczych, a jednocześnie postępem pod względem społecznym wogóle. Idea stowarzyszeniowa zyskałaby nową, ciężko przystępną dziedzinę z powstaniem zakładów wspólnego wytwarzania, a więc przeznaczonych nie dla celów zysku lub wyzysku, lecz jedynie dla zaspokojenia potrzeb członków stowarzyszeń. Duch braterstwa gospodarczego, jakkolwiek w stopniu nieco słabszym, podbiłby sobie część sfery produkcyi krajowej. Niestety jednak, dążność ta napotykała ogromne trudności. Stowarzyszenia, chcąc odnieść zwycięztwo nad rywalami, musiałyby wytwarzać swoje produkty na modłę techniki nowoczesnej i tylko na wielką skalę. Ten sposób hurtownej fabrykacyi wymaga wielkiego zbytu i rozległych rynków, niekiedy rozproszonych po wielkich obszarach międzynarodowych, którymi stowarzyszenia spożywcze nie rozporządzają. Wskutek tego idea zrzeszenia jęła się innego punktu wyjścia. Stowarzyszenia spożywcze mianowicie, zmuszone same czynić zakupy, zwykle nabywają swe towary z drugiej lub trzeciej ręki. Mogłyby zaś kupować je u źródła, a więc bez porównania taniej, gdyby podniosły stopę robionych zakupów. Wielkie magazyny i bazary już dawno chwyciły się tego sposobu, tworząc spółki hurtownego zakupu towarów. Stowarzyszenia spożywcze poszły tą samą drogą, a idąc w tym kierunku, przeistaczają się same i napotykają nowe zadania społeczne. Taki związek hurtowny zakupu nie jest niczem innem, jeno olbrzymiem zrzeszeniem oddzielnych stowarzyszeń, które sprowadzają towary za pomocą swego związku i wskutek tego mogą nabywać je po znacznie niższych cenach. Wyjście to było koniecznem już ze względu na współzawodnictwo z bazarami, które nie przebierają w środkach dla osiągnięcia wielkich zysków i sprzątania stowarzyszeniom spożywczym z przed nosa ich klienteli. Skoro związek tego rodzaju powstał, może stopniowo zakładać własne fabryki, których wyroby znajdowałyby zbyt w obrębie Związku, obejmującego setki lub tysiące stowarzyszeń spożywczych. Z organizacyą spożycia byłaby połączona organizacya zakupu i produkcyi. Z czasem organizacya ta mogłaby wykroczyć po za szranki terytoryum krajowego. O tem stadyum rozwojowem świadczy uchwała, powzięta na ostatnim kongresie stowarzyszeniowym w Paryżu 1900 r. Postanowiono mianowicie, aby związki stowarzyszeń spożywczych oddzielnych krajów wstąpiły z sobą w bezpośrednie stosunki handlowe lub też zamawiały towary w ich zakładach stowarzyszeniowych. Projekt ten tu i owdzie już doryweczo urzeczywistniono. „Związek hurtownego zakupu" szwajcarskich stowarzyszeń spożywczych (zwany tam „Instytucyą centralną") sprzedał ze swych zakładów i sklepów rolniczych owoce Związkowi angielskiemu. Ten zaś sprowadził również artykuły z holenderskich stowarzyszeń mleczarskich za pośrednictwem ich Związku, zwanego „Izbą handlową" Związek niemiecki kupuje ser od szwajcarskiego. Związki te mogą z biegiem czasu zaprowadzić bezpośrednią wymianę towarów pomiędzy sobą, z drugiej strony zaś prawdopodobnie zdołają i wewnątrz kraju nadać bezpośredniej wymianie szerszą podstawę, przyczem pieniądz służyłby tylko za środek oceny towarów wymienianych. Za towary swych stowarzyszeń wytwórczych rolnych związki mogłyby płacić wyrobami industryalnymi. Projekty bezpośredniej wymiany krajowej lub międzynarodowej przyoblekają się w Anglii prawdopodobnie już wkrótce w szatę czynów, albowiem angielski Związek zakupu hurtownego posiada w koloniach własne plantacye herbaty, kawy i kakao i bądź dla oszczędności, bądź dla uproszczenia swych operacyj powinien uciec się do procedury wymiany bezpośredniej. Tem bardziej dotyczy to stosunków wewnętrznych. Na ostatnim kongresie stowarzyszeń angielskich w Manchesterze Mr. Wallace poruszył sprawę wprowadzenia wymiany fabrykatów na produkty surowe pomiędzy filiami i organizacyami Związku zakupu hurtownego. Oczywiście w chwili obecnej plany te zarysowują się jeszcze jako nabożne życzenia, ale są to w każdym razie dla badacza i obserwatora drogowskazy, podług których może sądzić o kierunku, w jakim wkrótce pójdą stowarzyszenia spożywcze i roli, jaką mogą odegrać w przyszłej organizacyi gospodarstwa społeczeństw ludzkich.

Rzućmy tu jeszcze okiem na rozmiary i obroty istniejących już dziś w Europie Związków zakupu hurtownego. Z wieku i urzędu oczywiście należy się pod tym względem pierwszeństwo Anglii, piastunce i rodzicielce opisywanego tu ruchu. Związek angielski i szkocki obejmują 1,400 stowarzyszeń i robią obroty na 20 mil. funtów sterlingów. Z zakładów, będących własnością Związku angielskiego, wymienię tu fabryki biszkoptów, soków owocowych, wyrobów cukierniczych, obuwia, mydła, świec, konserwów, mebli, ubiorów itp. Z zagranicy Związek sprowadza towary na swych własnych 7 okrętach. Na lądzie europejskim może pochwalić się największymi obrotami Związek duński, który ma składy swe w całym szeregu miast duńskich. Szwajcarska „Instytucya centralna" (Związek) postawiła sobie za zasadę, aby według możności nabywać produkty bezpośrednio od wytwórców w tych wypadkach nawet, kiedy chodzi o artykuły zagraniczne, jak np. wino, które sprowadza z Hiszpanii i Francyi. Związek holenderski zrobił już pierwsze kroki na drodze zakładania własnych fabryk. Francuski jego kolega, o ile nie wziął we własne ręce dostawy tych lub innych przedmiotów, służy stowarzyszeniom informacyami. Niedawno powołany do życia Związek szwedzki wstąpił na te same tory.

Stoimy na progu przyszłości i na usta ciśnie się mimowoli pytanie: *Quo vadis, Domine?* Niestety, nie podejmujemy się tu dać najbardziej ogólnikowej nawet odpowiedzi. Przedewszystkiem w dziejach ludzkości decyduje nietylko jakość zmian, którym ulegają formy życia społecznego, ale ilościowe ich natężenie. A właśnie to ostatnie w zakresie naszych instytucyj chwilowo jeszcze nie przygniata zbytnio swym ogromem, jakkolwiek przedstawia się względnie pokaźnie w niektórych krajach, jak np. w Niemczech i Anglii. Następnie, wobec porażki, jakiej doznały niektóre przepowiednie historyozoficzne, wygłoszone tonem stanowczym i dogmatycznym, uważamy za najstosowniejsze powstrzymywać się od wszelkich wróżb społecznych. Bodźce zresztą naszego postępowania czerpiemy nie z Pytyjskich wyroków nauki, ale z naszego zbolałego serca.

H. Forszteter.

ALKOHOLIZM I WALKA Z NIM.

V.

(Dokończenie).

W zakresie oddziaływania państwa na spożycie alkoholu przez cały ogół rządy dążą do podnoszenia podatku na alkohol. Rząd austryacki np. właśnie stara się obecnie uzyskać od parlamentu podwyższenie podatku od alkoholu do 20 milionów. Środek to bardzo ponętny, ale nadzwyczaj mało skuteczny — powiada Cauderlier za innymi badaczami: w ciągu ubiegłego stulecia nieustannie podnoszono podatek i nieustannie też wzrastało spożycie alkoholu. Wysoki zaś dochód z tego źródła odbiera państwu szczerą chęć do zwalczania alkoholizmu. Kilka stanów Ameryki północnej, zaczynając od Nebraski w r. 1882, podnosiło do ogromnych sum patent szynkarzy (do 1,000 dolarów). Miało to ten skutek, że malała znacznie liczba szynków, ale pijaństwo nie zmniejszało się bynajmniej. Cauderlier — za komisyą ankietową angielskiej Izby lordów z roku 1878 — twierdzi stanowczo, że zmniejszenie liczby szynków nie jest dobrym środkiem zmniejszenia alkoholizmu, bo jeśli szynków jest mniej, to są większe i lepiej urządzone. W Holandyi np. za środek ciężkości całego prawodawstwa antyalkoholicznego wzięto podatek konsumcyjny i zmniejszenie liczby szynków. W ciągu lat osiemnastu zmniejszono ją o połowę— ale spożycie spadło tylko z $9\frac{3}{4}$ do 9 litrów. Szynk wypada jeden na 150 mieszkańców — cztery razy mniej, niż w Belgii, a pijaństwo jest prawie takie samo. W Norwegii rzeczywiście ten środek poskutkował; ale stosowano go tam tak radykalnie, że równało się to prawie zupełnemu zakazowi sprzedaży. (Obecnie w całym kraju jest tylko 223 szynków, z czego na wieś przypada tylko 25, czyli 1 na 9000 ludności). Wobec tego, że do tak stanowczych środków nikt obecnie uciec się nie zechce, Cauderlier, który reprezentuje w danym wypadku poważną liczbę zwolenników we wszystkich krajach, za jedyny skuteczny środek prawodawczej walki z alkoholizmem uważa — monopol państwowy. Pozostaje nam więc jeszcze, przy pomocy kilku referatów, przyjrzeć się temu środkowi.

Stany Ameryki północnej: Maine, Jowa, Kansas, obydwie Dakoty, Hampshire i Vermont całkowicie zakazały w swych granicach produkcyi i sprzedaży alkoholu. Tylko dlatego, że państwa europejskie nie chcą się zdecydować na zakaz tej trucizny, jak zakazane jest opium np., cytowany już przez nas Cauderlier poleca system monopolu. Jest to krok przejściowy. Wywłaszczenie gorzelników wkłada w ręce rządów środek stłumienia alkoholizmu — *skoro zechcą*. „Dotychczas wprawdzie Szwajcarya osiągnęła dobre skutki głównie pod względem fiskalnym," co krytykuje wiele powag, np prof. Forel. Ale zwolennicy monopolu, Cauderlier, dr. Adolf Daum, adw. wiedeński itd., wyrażają przekonanie, że rządy wkrótce po wprowadzeniu monopolu wyrzekną się tego źródła dochodu.

Ksiądz Marthaler nie szczędzi krytyki monopolowi szwajcarskiemu. Wprowadzony w r. 1887, odnowiony w 1900, zamknął on 1,100 gorzelni. Po tyloletniem działaniu spożycie wódki zmniejszyło się wprawdzie nieco, ale na to składało się tyle innych przyczyn, a przedewszystkiem propaganda! Ale znów za to znacznie wzrosło spożycie piwa i wina, którym, wychodząc z fałszywych zasad hygienicznych, udzielano ulg i poparcia. Rozpraw nad referatem powyższym nie było.

Co do monopolu rosyjskiego, miał on na zjeździe krytyków i obrońców. Z krytyką wystąpił, jak już na kongresie paryskim w r. 1899, p. Dymitr Borodin, prezes komisyi naukowej Towarzystwa ekonomicznego w Petersburgu. Istotę fiskalną reformy oświetla on w sposób następujący: „Cyfry dowodzą, że przed reformą rząd starał się stale o powiększenie swych dochodów przez podnoszenie akcyzy; lecz wskutek ubóstwa ludności po każdem podwyższeniu akcyzy następowała reakcya: spadało spożycie i dochód. Zdolność spożywcza i podatkowa ludności oznaczała jako maksymalną granicę akcyzy 10 kop., której przekroczyć nie było można. Wówczas przeprowadzono szybko monopol. Znaczenie tego sposobu sprzedaży wódki uwyda-

tniło się dostatecznie. Spożycie wzrosło z 23,4 do 24 milionów spirytusu czystego. Dochody skarbu wzrosły z 260,7 do 347,6 milionów rubli, co czyni 2¼ rubla od głowy ludności." Co do rozwijania trzeźwości, to z tej strony, zdaniem p. B., monopol dał tylko „świetne wyniki ujemne." Pomijając to, że wzrasta spożycie piwa i wina, „które, prawdę mówiąc, rzadko bywa produktem z winogron", że „kontyngens sprzedawców piwa nie różni się od dawnych szynkarzy-wampirów"; że powstał niemoralny proceder wyszynku potajemnego — monopol, co się tyczy wódki, miał, zdaniem p. B., to następstwo, że zaczęto pić w domu — co stanowi zły przykład dla dzieci — a jeszcze więcej w warsztatach i na ulicach. „Do tego służą flaszki małe, nieużywane przy dawnym systemie akcyzowym, dziś znane u ludu pod nazwą *mierzawczik*... W stolicy, o rannej godzinie, kiedy stróże jeszcze nie zamietli ulic, można widzieć na pięć stóp po lewej i prawej stronie od wejścia do sklepu z gorzałką chodnik zasypany korkami, pod domami jak niby pasmo czerwonej farby. Na prowincyi dzieje się jeszcze gorzej... Wprawdzie, zaznacza p. Borodin, obecnie ministeryum skarbu zamierza, w celu zmniejszenia szkodliwego wpływu wódki na zdrowie, rozcieńczyć ją — bez zmniejszenia ceny. Ale wszystkie te środki nie mogą być skuteczne, bo wogóle alkoholizm jest zjawiskiem społecznem tak skomplikowanem i głęboko tkwiącem, że sama zmiana sposobu sprzedaży, niejako osobistości sprzedającego, wpłynąć na nie wcale nie może.

Na te zarzuty i na analogiczną krytykę pani dr. Z. Daszyńskiej-Golińskiej, odpowiedzieli obaj delegowani rządu rosyjskiego na kongres, pp. dr Bulowski i hr. Ludwik Skarzyński. Dr. Bulowski oświadczył, że referat p. Borodina jest tendencyjny, bo podkreśla tylko słabe strony reformy. Dotychczas żaden rząd nie odważył się zakazać prywatnej sprzedaży wódki. Inicyatywa rządu rosyjskiego ma więc duże znaczenie w walce z alkoholizmem, do której zresztą potrzebne też jest współdziałanie stowarzyszeń prywatnych. Monopol jest śmiałem wdaniem się w życie ludowe, które może mieć tylko dobre następstwa. Głównym celem reformy było uwolnienie ludu rosyjskiego od złych skutków pijaństwa lub przynajmniej skłonienie go do umiarkowania w piciu. Dziś, po wprowadzeniu monopolu, pijacy nie mają gdzie pić. Kto się nie wstydzi, pije na ulicy, ale z tego nie wytwarza się pijaństwo. Monopol wywarł dobry wpływ pod względem społecznym, hygienicznym i etycznym. Przytem na popieranie instytucyj, rozwijających wstrzemięźliwość, rząd wydaje rocznie 3 miliony rubli."

Hr. Skarzyński obliczył, że w r. 1897 aresztowano w Petersburgu 27,326 osób za pijaństwo; w r. 1898, po wprowadzeniu monopolu, już tylko 22,700. „Od wprowadzenia monopolu spożycie alkoholu ciągle się zmniejsza, tem bardziej, że wytwarzany jest alkohol umyślnie bez smaku, aby go mniej pito. Wpływa z tego źródła 347 milionów rocznie: lecz jeśli rząd rosyjski osiągnie swój ideał, to te pieniądze powrócą znów do ludu przez podniesienie dobrobytu ogólnego."

P. hr. Skarzyński, który, jako prezes komitetu trzeźwości w Warszawie, był już delegatem ministeryum skarbu na wystawie paryskiej i urządzał tam oddział ogólny rosyjskich komitetów trzeźwości, miał też w tym charakterze na kongresie wiedeńskim odczyt o dobroczynnym wpływie urządzanych w Warszawie zabaw ludowych na zmniejszenie pijaństwa. Zaznaczył, że „rodzaj i charakter tych instytucyj stosuje się do warunków życiowych ludu w każdej miejscowości, zabawy ludowe w Ufie noszą np. inne piętno, niż w Petersburgu lub Warszawie." On też na uroczystości otwarcia kongresu wypowiedział w imieniu rządu rosyjskiego mowę, którą pisma miejscowe streściły jak następuje: „Na polu, na którem my pracujemy, istnieją tylko wspólne interesy zarówno między narodami, jak między rządami. Im więcej rządy zajmują się sprawami społecznemi, na tem dalszy plan schodzą sprawy polityczne, które pociągają za sobą tylko spory i walki. Polityka — to niezgoda; praca społeczna niesie jedność. Jedność i zgoda między ludami i między rządami — to najpiękniejsze marzenie naszego Monarchy."

Dr. Niżegorodcew w swym referacie zajął w sprawie monopolu stanowisko pośrednie między „tymi, co go ostro, nieraz jednostronnie krytykują, a tymi, którzy go bezwzględnie bronią: aby sądzić o moralnych i społecznych następstwach tej imponującej próby rządu rosyjskiego, trzeba poczekać na dokładniejsze dane, których jeszcze niema." Pisze on też, że na życzenie, wyrażono przez komisyę towarzystwa sanitarnego, której on jest prezesem, aby nie ograniczano, lecz przeciwnie rozszerzano prawo gmin wiejskich decydowania o dopuszczeniu handlu wódką na ich terytoryum, p. minister skarbu zapewnił go o swej zupełnej zgodzie na stanowisko komisyi.

P. Borodin pragnie w przyszłości, możliwie najbliższej, zupełnego zakazu sprzedaży alkoholu, jako przedmiotu spożycia masowego. Ten jedyny skuteczny środek pozbawiłby wprawdzie rząd znacznego dochodu, ale ponieważ w ekonomii politycznej nic nie ginie, więc podniesienie dobrobytu ludu wkrótce stworzyłoby nowe źródłe opodatkowania. Przytem rząd mgłby nawet odrazu odzyskać te same 347 milionów inną drogą: p. Borodin zaleca tu projekt p. A. D. Pasuchina, aby rząd wziął w swoje ręce wszelkie rodzaje ubezpieczenia. Zanim jednak to nastąpi, mniema p. Borodin, że już t. z. „system gothenburski" ma niewątpliwą wyższość nad monopolem.

„System gothenburski" jest używany w Szwecyi. Otóż ponieważ Szwecya jest krajem, którego ludność przed stu laty słynęła poprostu z potwornego pijaństwa, a obecnie ma opinię niemal najtrzeźwiejszej w świecie (obok Norwegczyków), więc na zakończenie zapoznamy czytelnika z historyą alkoholizmu i walki z nim w Szwecyi, na podstawie ciekawego i starannego referatu dr. J. Bergmana, nauczyciela gimnazyum w Sztokholmie.

Dawniej pito w Szwecyi tylko napoje fermentowane, jak miód, piwo, moszcz owocowy, wino. Jak tylko w w. XVII zaczęła rozpowszechniać się gorzałka, zaraz zjawiły się zakazy, przeciw niej wymierzone: pierwszy — za Gustawa Adolfa w r. 1622; upadł jednak po jego śmierci. Drugi — za Karola XII, który był sam bezwzględnym abstynentem. Nie skutkowały one. Zresztą, wódka w XVIII w., epoce wszechwładztwa parlamentu, stała się przedmiotem walki partyjnej. Partya arystokratyczna „kapeluszy" hołdowała tradycyi Karola XII i zakazywała sprzedaży wódki; partya „czapek" szukała popularności u chłopów i, hołdując ich pociągowi do wódki, zakaz znosiła. Tak trzy razy był on uchwalany i znoszony: od 1724 do 1726; w 1740, od 1756 do 1760. Gustaw III, pomimo swego „absolutyzmu oświeconego," ustanawia monopol produkcyi wódki w celach fiskalnych: na ciągłe wojny potrzeba było pieniędzy. Otóż z okresem t. zw. „gorzelnictwa koronnego" (1775--1787) zaczyna się szwedzkie pijaństwo. Po nim następuje system t. zw. „gorzelnictwa w komisie" (1787—1810), a potem, do r. 1835 — „gorzelnictwa domowego." Każdy chłop-gospodarz miał prawo pędzić wódkę u siebie w domu, „do domowego użytku." Miało to być wymierzone przeciw szynkom: skończyło się na tem, że każda zagroda zmieniła się w szynk.

Ten okres straszliwego pijaństwa (od 1775 do 1830 mniej więcej) był zarazem niezmiernie krytyczną i nieszczęśliwą epoką w historyi Szwecyi. Wypełniły go rewolucye, zdrady stanu, zamachy, utrata prowincyi. Po tych klęskach zaczęła się praca nad odrodzeniem narodu. Poeci, jak Tegner, piętnują żądzę użycia, która kraj postawiła nad brzegiem przepaści. P. H. Ling wynajduje gimnastykę szwedzką w celu odrodzenia fizycznego młodzieży. Thorsten Rudenschöld w r. 1842 doprowadza do ogłoszenia nauki elementarnej za obowiązkową. W związku z tym całym kulturalnym prądem P. Wieselgren rozwija energiczną działalność (1819—1834); zakłada stowarzyszenie zupełnej abstynencyi od wódki. Królowie Karol XIV, Jan i Oskar I energicznie popierają działalność „Szwedzkiego Towarzystwa trzeźwości", dzięki jego usiłowaniom w r. 1855 parlament znosi prawo pędzenia gorzałki w domu i obciąża wysokim podatkiem gorzelnie fabryczne.

Następnym krokiem było właśnie wprowadzenie w r. 1865 najpierw w Gothenburgu, potem stopniowo prawie we wszystkich miastach szwedzkich, systemu, nazywanego od tego miasta. Polega on na tem, że prawo sprzedaży wszelkiej wódki (czyli wszelkiego napoju, zawierającego więcej niż 25% alkoholu) posiada w danem mieście wyłącznie jedno towarzystwo akcyjne, którego akcyonaryusze z góry godzą się na to, że od swych pieniędzy otrzymają tylko procent prawny, bardzo zatem niewielki. Cały dochód ponad to obracany jest na ogólny pożytek miasta, na cele filantropijne, kulturalne itp., czyli na pośrednie przeciwdziałanie pijaństwu. W tem leży niebezpieczeństwo tego niejako monopolu miejskiego; bo wiele miast czerpie główny swój dochód budżetowy z tego źródła, więc nie ma szczerej ochoty go wysuszać. Ale zaletą tego systemu jest usunięcie interesu prywatnego w sprzedaży wódki. Wszyscy bowiem sprzedający są urzędnikami towarzystwa akcyjnego, otrzymują stałą pensyę i ze sprzedaży wódki nie czerpią żadnego dochodu; natomiast mają dochód ze sprzedaży jedzenia i piwa, które obowiązani są trzymać w tych samych lokalach. To wykluczenie piwa z pod systemu gothenburskiego i pośrednie popieranie go było błędem, wynikającym z dawnych poglądów na hygieniczną wartość tego napoju. Dzięki temu błędowi i drożyźnie wódki, zaczęło ogromnie wzrastać spożycie piwa, co znowu w r. 1873 powołało do życia istny ruch abstynencki, skierowany już tym razem przeciw wszelkim napojom alkoholicznym. „Zakon Templaryuszów dobra" i inne stowarzyszenia wstrzemięźliwości mają 250,000 członków (na 5 milionów ludności). Uzyskały one już edykt królewski z r. 1892, na mocy którego we wszystkich szkołach odbywają się obowiązkowe wykłady o działaniu alkoholu. Obecnie domagają się usunięcia napojów alkoholicznych z życia wojska i prawa przeciw piwu, polegającego na znacznem, jak w Norwegii — zmniejszeniu liczby piwiarni i ograniczeniu godzin, w których by sprzedaż była dozwoloną.

Ogólne wyniki walki z alkoholizmem w Szwecyi są następujące: spożycie wódek w r. 1830 — *46* litrów na głowę, w 1900 — 7 litrów; piwa: w r. 1830 — 6 litrów, w 1900 — 28; wina 0,5 — 0,7 litra. Pomimo zatem wzrostu spożycia piwa, wytrzeźwienie ludności jest bardzo znaczne i wyraża się — kończy historyk — w ogromnem podniesieniu materyalnego i moralnego stanu narodu.

Aby dopełnić obrazu działalności kongresu, zaznaczmy jeszcze, że delegat rządu szwajcarskiego, Milliet, dyrektor biura statystycznego związkowego i autor dzieła „Exposé comparatif de la question de l'alcoolisme," wyraził życzenie, aby założono biuro międzynarodowe w celu badania al-

koholizmu, jego przyczyn, objawów i środków walki z tym wrogiem.

K. Radosławski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Rok klęski.

Rok bieżący dla ogółu naszej ludności rolniczej będzie bardzo ciężki. Niepomyślna wiosna wpłynęła zabójczo na posiewy tak dalece, że cały kraj jest zagrożony dotkliwym nieurodzajem. Ziemianie obliczają, iż $^3/_4$ zboża, zasianego w roku zeszłym na jesieni, przepadło zupełnie. *Echa płockie i łomżyńskie* na tle tych warunków bardzo niepomyślnych rozsnuwają smutny obraz przyszłości w sposób następujący: Klęska dotknęła zarówno włościan, jak i właścicieli folwarków. Ziemianin nasz, odłużony przeciętnie bardzo wysoko, może upaść pod tym ciężarem. Dla włościanina, nieraz również odłużonego, jak właściciel folwarku, rok bieżący może się stać rokiem upadku. Chłop może liczyć tylko na kartofle, któremi obsadził zaorane pola oziminy. Rok ten wogóle odbije się fatalnie na stosunkach gospodarstwa rolnego. Nieurodzaj oziminy wywołał niepożądaną zmianę płodozmianu, brak paszy, na której się opiera utrzymanie inwentarza, wpłynie na to, że wielu pozbędzie się go przynajmniej do połowy, co znowu wywoła brak nawozu, a następnie zmniejszy wydajność gruntów. Nastąpi więc na jakiś czas zniżenie kultury ziemi i zmniejszenie wydajności pól. Rok taki oddziała ujemnie na kilka lat następnych. Nie są to skargi czcze i przesadzone, jak niegdyś. Dziś rolnicy nasi, dzięki instytucyom, ogniskującym ich sprawy, mają łatwiejszą możność rozglądania się w położeniu. Niemniej jednak, dzięki tym samym instytucyom i coraz szerzej rozwijającej się pracy zorganizowanej, mogą łatwiej, niż dawniej, przeciwdziałać klęskom żywiołowym. Już na posiedzeniu majowem sekcyi rolnej obradowano nad tem, jakich sposobów należy się chwycić, ażeby zapobiedz oczekiwanym skutkom nieurodzaju, i uchwalono między innemi: przedsięwziąć wszelkie środki, zmierzające do przysporzenia paszy, starać się o zniżenie taryf na przewóz słomy i siana prasowanego z Besarabii i innych gubernij południowych. Rozejrzawszy się w szczegółach gospodarki ziemian naszych, można byłoby znaleźć bardzo wiele jeszcze innych środków, które znacznie złagodziłyby klęskę przewidywaną. W gorszem położeniu jest chłop i na niego rzeczywiście klęska ta spadnie całym ciężarem, o ile towarzystwa i syndykaty rolne nie przyjdą mu z pomocą.

Egzamina.

Druga połowa maja i pierwsza czerwca, gdy odrodzona natura staje wreszcie przed nami w całym blasku swej krasy wiosennej, to w klimacie naszym najpiękniejsza niewątpliwie doba w ciągu całego roku, to okres czasu, w którym zwłaszcza młode organizmy powinnyby oddychać piersią całą, młode oczy — napawać się przedewszystkiem cudnemi barwami, malowanemi przez słońce na kobiercu przyrody i odczytywać tajemnicze, a pociągające głoski w tej pełnej mądrości księdze.

To też — pamiętam — przed laty czułem sam niewypowiedziany żal do urządzeń, które w tym właśnie okresie czasu kazały mi zadawać gwałt naturalnym popędom młodej duszy i dnie całe, te najpiękniejsze dnie wiosny, spędzać na gorączkowem, a najczęściej bezużytecznem odświeżaniu w pamięci reguł gramatycznych, twierdzeń matematycznych lub dat i wypadków historycznych; a i dziś nie mogę bez żywego współczucia patrzeć na te młode, przybladłe, zdenerwowane twarze, które, zamiast opalać się na słońcu, nabierać rumieńców zdrowia i życia, pochylają się dniami całemi nad książką lub oczekują z niepokojem wyników loteryi egzaminowej.

Prawda, że na ogół egzamina szkolne są dziś łatwiejsze nieco, niż np. przed laty dziesięciu, że pewna kategorya uczniów i uczenic może być od nich uwolniona na zasadzie stopni rocznych. Zanim jednak pedagogika zdobędzie się wreszcie na zupełną pod tym względem reformę, przeznaczając ten nieszczęsny dziś koniec roku szkolnego na jakieś, dajmy na to, wspólne wycieczki po kraju (gdyby koniecznie coś w rodzaju egzaminów zdawać miano, należałoby je urządzać w zimie), sądzimy, że nawet w granicach wymagań obecnych możliwe byłyby dalsze zmiany tymczasowe, związane bezpośrednio z istotnem dobrem młodych pokoleń.

Oto np., jak wiadomo, podlegają dziś głównie egzaminom uczniowie i uczenice, mający z jednego lub dwu przedmiotów niedostateczny stopień roczny (trzy takie niedostateczne wystarczają do pozostawienia ucznia na rok drugi w tej samej klasie). Pomijając wadliwy system obecny wyprowadzania tych stopni rocznych, przy którym nauczyciel może dać i nieraz daje dwójkę za rok uczniowi, mającemu przez trzy kwartały trójki i tylko w jednym, czasem najkrótszym — dwójkę, zjawia się przedewszystkiem pytanie, dlaczego np. chłopiec, mający przez cały rok dobre lub nawet celujące stopnie z matematyki, przypuśćmy, i historyi, musi zdawać egzamina ze wszystkich, a więc i tych dwu przedmiotów, jeżeli los nie obdarzył go zdolnościami do języków—lub *vice versa*.

Chcąc, aby egzamina miały istotnie jakieś znaczenie praktyczne, doprowadzając ucznia do lepszej znajomości kursu, należałoby naprzód możliwie ograniczyć ich liczbę, pozostawiając dłuższą ilość czasu na powtórzenie przedmiotu, niedostatecznie poznanego w ciągu roku. Należałoby więc poprzestać na egzaminach z tych tylko przedmiotów, z których uczeń uznany został za nieprzygotowanego należycie, a znieść bez wahania i wyjątku wszystkie inne. Egzamina takie zdawane być powinny przed wakacyami, aby dwumiesięczny okres feryi letnich był naprawdę dla młodych organizmów czasem wypoczynku zupełnego.

Jest to pożądane tem bardziej, że, jak stwierdzono niejednokrotnie, tak zwani gorsi uczniowie — to niekoniecznie stek próżniaków i łobuzów, ale częstokroć jednostki słabsze i niedostatecznie rozwinięte fizycznie, które pod tym właśnie względem należałoby przedewszystkiem doprowadzać do pożądanego stanu. W kierunku więc zaprowadzenia wskazanej przez nas reformy iść, zdaniem naszem, powinny najbliższe, a wciąż jeszcze pożądane zmiany obecnego systemu promowania uczniów z klasy do klasy. *wb.*

Polityka Strausa.

Pisma codzienne podały dosłownie *exposé* hr. Gołuchowskiego, otrzymane drogą telegraficzną przez Agencyę północną. Kilka dzienników puściło w świat taki ustęp z tej mowy: „Porozumienie to (między Austryą a Rosyą) datuje się od roku 1897 i daje bardzo cenną rękojmię przeciwko szkodliwemu oddziaływaniu zajść na Bałkanach na nasze stosunki wzajemne. Ale sądzić z tego, że wystarczy ono dla powstrzymania wszelkich wypadków, które na tamtejszym gruncie powstać mogą, znaczyłoby prowadzić politykę Strausa.“ Czytelnicy napróżno łamią sobie głowy, ażeby przypomnieć, kiedy i gdzie istniał wielki dyplomata Straus, na którego politykę powołuje się hr. Gołuchowski. Ponieważ ani pamięć ludzka, ani tradycya ustna, ani żadne kroniki nie przekazały potomności tego nazwiska, więc sięgnijmy do jedynego źródła historycznego, którem dotąd posługują się reporterzy gazeciarscy: do depeszy Agencyi północnej. Polityka *Strausa* znaczy w dosłownym przekładzie polskim polityka *strusia*, tj. takiego ptaka, który się bawi w chowanego, nie wiedząc, że pomimo ukrycia głowy, każdy go znaleźć może. Nie mogła go tylko znaleźć w depeszy reporterya warszawska. Nie pierwszy to i, niestety, zapewne nie ostatni fakt. Pisma codzienne powierzają różne czynności ludziom, chciwym na zarobek a niemającym najmniejszego wyobrażenia o danym przedmiocie. Dlatego też polityka Strausa bardzo często ujawnia się nietylko w telegramach Agencyi północnej, nietylko w wiadomościach, czerpanych obficie z pism zagranicznych, lecz także w sprawozdaniach z obrad naszych instytucyj społecznych i ekonomicznych.

Pachciarz czy gospodarz?

Od pewnego czasu daje się śród ziemian naszych zauważyć bardzo znamienny ruch: dążność do bezpośredniej styczności z rynkami wielkimi tudzież źródłami produkcyi wszelkich przedmiotów niezbędnych. Dążność tę widzimy także w dziedzinie mleczarstwa, o którem ziemianie nasi od kilku miesięcy rozprawiają w ogniskach swoich interesów. Na posiedzeniu majowem sekcyi rolnej podczas narad nad zorganizowanem mleczarstwem, jeden z ziemian, p. Kuczyński, narzekał na to, iż bezpośrednia dostawa mleka na wielki rynek warszawski jest bardzo kłopotliwa, że się mało opłaca z powodu stosunkowo niskich cen, zaofiarowanych przez przedsiębiorstwa handlowe. Czy więc nie lepiej byłoby dawnym zwyczajem, powierzyć tę sprawę pachciarzowi, poprzestając na zarobku bardzo małym, lecz mniej kłopotliwym? Ta znamienna i niezwykła w tych sprawach zachowawczość ujawniła się także w zupełnej obojętności wielu ziemian dla Towarzystwa mleczarskiego, którego ustawa ma być już wkrótce zatwierdzona. Utrzymywano nawet, że Warszawa jest „przemleczona,“ więc nowa organizacya jest zbyteczną. Możnaby przypuszczać, że z tych zapatrywań wygląda interes prywatny przedsiębiorców pojedynczych, którzy wolą zupełną niezależność bez kontroli, niż udział w stowarzyszeniu. Na czem jednak polega to „przemleczenie“? Inicyator Towarzystwa, p. Jeżewski, dowodzi, że Warszawa w ogólnej ilości mleka spożywa $^1/_3$ wody, dolanej przez przekupniów. Jeżeli więc powstanie handel zorganizowany, jednolity, można będzie zwiększyć dowóz mleka o $^1/_3$, gdyż przy należytej kontroli nie będzie już dopuszczona domieszka wody. Oczywiście taka reforma będzie zamachem na interesy pachciarza, z którym się nie chce rozstać leniwy i zachowawczy gospodarz.

BADANIA NAUKOWE.

EKONOMIA SPOŁECZNA *).

W piśmiennictwie naszem — mówi autor w przedmowie do książki swojej — nie było dotychczas

*) St. Kempner: *Zarysy ekonomii społecznej*. Warszawa. Nakładem redakcyi *Gazety Handlowej*. 1901, str. 272. 8-o.

dzieła ekonomicznego, któreby dążyło do powiązania teoryi gospodarczości z pierwiastkami społecznymi, psychicznymi i etycznymi, do czego najnowsze badania nietylko upoważniają, lecz zniewalają; nie było dzieła, któreby w wykładzie pierwiastków ekonomicznych uwzględniło nowe prądy życia i nauki." Lukę tę p. Kempner zamierza zapełnić swym „Zarysem." Czytając te słowa, mimowoli pytamy siebie, czy naprawdę ten to przedewszystkiem brak odczuwać się daje w naszej teoretycznej literaturze ekonomicznej i czy sąd p. Kempnera o najnowszych podręcznikach polskich nauki gospodarstwa narodowego nie jest zbyt surowym? Boć niedawno, dwa lata temu dopiero, wyszedł w Krakowie doskonały podręcznik ekonomii społecznej p. Daszyńskiej, bezsprzecznie stojący na wysokości nauki nowoczesnej, znakomicie uwzględniający nowe prądy życia i szukający objaśnienia zjawisk gospodarczych nie gdzieindziej, tylko właśnie w psychologii i społecznych dążeniach oraz postulatach ludzi. O podręczniku tym co prawda p. K. nie wspomina wcale. Lecz cytuje „System" Bilińskiego, przerobiony przez prof. Głąbińskiego. A przecież i ten podręcznik wciąż traktuje zjawiska narodowo-gospodarcze, nie w oderwaniu zupełnem, lecz przeciwnie w łączności z całokształtem życia społecznego, choć inaczej, niż to p. K. za potrzebne uważa: wszelako w żadnym razie nie sposób przeczyć, iż „System" Bilińskiego uwzględnia nowe prądy życia i nauki. Wreszcie podręcznik Gide'a, wydany ostatnio w opracowaniu i z uwagami prof. Czerkawskiego. Toć i on do piśmiennictwa naszego należy, ze względu na te uwagi.

Jeśli wogóle porównamy ilość pisanych i wydawanych u nas wykładów systematycznych i podręczników ekonomii politycznej z resztą naszej produkcyi teoretycznej w zakresie nauki gospodarstwa narodowego, to raczej na powódź tych podręczników, lecz nie na brak ich użalać się trzeba. Za ostatnich lat 8 ukazały się u nas z samodzielnych teoretycznych badań monograficznych bodaj tylko: Daszyńskiej — „Szkice metodologiczne," Heryngа — „Logika ekonomii" Marchlewskiego — „Fizyokratyzm w dawnej Polsce," Czerkawskiego — „Renta gruntowa i wielkie gospodarstwa." oraz Milewskiego prace o mononometalizmie. Wobec podręczników, w tym samym czasie wydanych (Bilińskiego, Głąbińskiego, Załęskiego, Daszyńskiej, wspomniano opracowanie Gida przez Czerkawskiego i roztrząsany obecnie „Zarys" p. Kempnera), nie licząc krótkich opracowań popularnych (Steckiego i Studnickiego) lub wręcz nienaukowych książeczek (Domańskiego) — to już bardzo wiele, zbyt nawet wiele.

W warunkach normalnego rozwoju nauki jeden „Zarys," czy „System" czy „podręcznik" przypada na setki specyalnych prac teoretycznych. A gdy u nas dzisiaj dzieje się odwrotnie, to widoczny stąd jest ogólny nader lichy stan naszej pracy naukowej na polu teoryi gospodarstwa narodowego. Postęp samodzielnej ekonomicznej nauki polskiej, przerwany w 1830 r., po dziś dzień się nie odrodził. Obecna nasza literatura społeczno-gospodarcza jest czysto recenzyjna i opisowa. Monografie o istniejących u nas i za granicą stosunkach ekonomicznych, opracowania historyczne — wyłącznie opisowe, recenzye z zagranicznego ruchu naukowego na ogół całą treść jej wypełniają. Samodzielne badania teoretyczne zjawiają się tylko pojedynczo. P. Daszyńska w jednym z ostatnich swych artykułów wyraża nadzieję, że wkrótce lepszy dla nas czas nastanie, w którym wytworzy się polska samodzielna nauka ekonomiczna. I ja w to wierzę. Lecz droga ku temu prowadzi — przez badania monograficzne. I podręczniki, zarysy, czy systemy są ku temu potrzebne. Niezbędne jest bowiem przedewszystkiem gruntowne wykształcenie, dokładna znajomość tego, co gdzieindziej dokonano w zakresie teoryi ekonomicznej, aby następna nasza praca samodzielna mogła być owocną. Wszakże o ile dziś kompendya takie są nam potrzebne — to recenzye właśnie; mniej zaś „nowe systemy" całokształtu gospodarstwa narodowego.

Zapewne, byłoby śmiesznem doktrynerstwem brać komuś za złe, że zamiast specyalnej rozprawy o wartości czy rencie, dał nam zupełny system ekonomii, o ile system ten jest skończonem dziełem umysłu, który w badaniu zjawisk narodowo-gospodarczych doszedł do przyczynowego zrozumienia całokształtu gospodarstwa narodowego, objął go jakąś jedną ideą przewodnią i przy jej pomocy próbuje objaśnić wzajemne stosunki poszczególnych zjawisk ekonomicznych, ich powikłania i ostateczne przyczyny ich wszystkich. Śmieszną więc byłaby pretensya np. do Supińskiego, że zamiast dziesiątka monografij dał nam swój system. Taki system wszakże — to jak dzieło natchnienia poetyckiego, całkiem różny od książek pisanych dla zapełnienia jakiejś luki w piśmiennictwie dotychczasowem.

Gdy wszakże staniemy na tem ostatniem stanowisku, bardzo zresztą uprawnionem — a p. Kempner stanowisko to właśnie zajmuje — w takim razie musimy się spytać, czy potrzebne i na czasie są już nam dziś samodzielne, nowe systematy, jako dopełnienie dotychczasowej naszej produkcyi naukowej? Z tego, cośmy przed chwilą powiedzieli, wypada odpowiedź przecząca. Co więcej, niemal z całą pewnością powiedzieć możemy, że wypracowanie takiego nowego systemu z góry jest chybione. Musi bowiem być tylko „szkicowem opracowaniem systemu." P. Kempner sam o swej książce mówi: „Nie rościmy pretensyi do tego, abyśmy cały przedmiot w zupełności wyczerpali: wiemy, że opracowanie nasze jest tylko szkicowe; usiłowaliśmy jednak ująć w całość poznawczą zagadnienia zasadnicze, a posiłkowaliśmy się w tym względzie zarówno wskazówkami najnowszej nauki, jak wyjaśnieniami samodzielnemi" [1]).

Otóż możliwem jest krótkie streszczenie jakiegoś systemu, możliwym jest skrócony podręcznik, zapoznający czytelnika z obecnym stanem nauki ekonomicznej — lecz szkic nowego systemu teoryi gospodarstwa narodowego metodologicznie jest niemożliwym, z tej prostej racyi, że system, obejmujący całokształt zjawisk narodowo - gospodarczych i ich stosunków wzajemnych, podający *przyczynowe wyjaśnienie* tego (bo celem nauki jest właśnie takie przyczynowe wyjaśnienie) musi być poprzedzony przez *empiryczne objaśnienie* stosunków, łączących wszelkie poszczególne grupy zjawisk ekonomicznych. W podstawie tego objaśnienia *empirycznego* [illegible] musi stwierdzenie, opis i klasyfikacya *wszystkich* zjawisk życia gospodarczego narodów oraz stale powtarzających się ich połączeń przyczynowych.

Niepodobna wyprowadzić systemu ekonomii z jakiejkolwiek *a priori* przyjętej zasady. Jeśli dziś na Zachodzie toczy się spór o metodę indukcyjną, czy dedukcyjną w ekonomii politycznej, to li tylko w tem znaczeniu, czy ostateczne przyczynowe poznanie gospodarczego życia narodów da się osiągnąć. Jasnem jest bowiem, że indukcya może nam udzielić jedynie empirycznego objaśnienia, wyjaśnić więc: czemu coś tak jest, lecz w żadnym już razie: czemu tak a nie inaczej być musi koniecznie. Przecież jednak nikt, ani zwolennicy dedukcyi, ani wyłączni obrońcy indukcyi nie zaprzeczają konieczności przedewszystkiem szczegółowego opisu i dokładnej klasyfikacyi, a następnie wszechstronnego poznania empirycznego zjawisk ekonomicznych.

Szkic systemu, jako pierwszy etap szczegółowego przyczynowego poznania całokształtu życia narodowo-gospodarczego — to metodologiczne *contradictio in adjecto*. Fatalna ta geneza ciąży na całej pracy p. Kempnera, zmuszając go do wielu dowolnych ograniczeń zakresu badań narodowo-gospodarczych, do zbagatelizowania wprost całej nauki ekonomicznej.

P. K. słusznie zaznacza, że „z dwóch szkół, dominujących obecnie, jedna t. zw. etyczno-realna, czyli historyczna, ogranicza się doświadczalnem poznaniem i wskazaniami etycznemi, do syntezy prawie nie dążąc, a więc wyrzeka się wykrycia związku przyczynowego faktów; druga t. z. ścisła, zadawala się rozbiorem stosunku jednostek do dóbr i pomiędzy niemi wykrywa związek konieczności, ale, straciwszy z uwagi momenty społeczne i etyczne, znowu syntezy nie daje" [1]). Czerpana stąd wszakże nauka na przyszłość sprowadza się do tego tylko, że „aby dojść do syntezy, należałoby przy rozważaniu wszystkich naszych czynów wyosobnić pobudki do samych czynów" [2]). Słusznie, czyn to nie pobudka do niego i odwrotnie. Lecz przecież nikt nigdy tych dwu pojęć z sobą nie mieszał. Więc wyodrębnianie takie nie da nam jeszcze możności rozwiązania tych szkopułów, o które rozbiły się usiłowania zarówno szkoły klasycznej, jak historycznej, jak wreszcie obecnej ścisłej. Nie dlatego też, że „myśl ludzka nie zdołała dotychczas, jak mówi p. K., z zupełną ścisłością wyłączyć pierwiastków ekonomicznych z całego splotu zjawisk życiowych [3]), nie mamy po dziś dzień powszechnie zadawalającego objaśnienia przyczynowego zjawisk narodowo-gospodarczych i całokształtu ich stosunków wzajemnych, boć zresztą ekonomia klasyczna i jej kontynuatorzy wraz z dzisiejszą szkołą wiedeńską bardzo nawet ściśle wyłączają zjawiska ekonomiczne z ogółu społecznych, lecz przedewszystkiem dlatego, że żadna ze wspomnianych szkół nie rozwiązała dotychczas antynomii, iż człowiek jest jednocześnie podmiotem i przedmiotem zjawisk ekonomicznych. Wszystkie zjawiska ekonomiczne ujmujemy jako wielkości objektywne, po za nami stojące. Jednocześnie zaś są one naszymi stosunkami psychicznymi. Szkoła historyczna, zaznaczając ten podwójny charakter życia narodowo-gospodarczego, mówi: życie to jest wynikiem dwu różnorodnych szeregów przyczyn: duchowych i materyalnych, sprowadzić je więc do jednolitych ogólnych przyczyn nie sposób, tak iż nie może być ścisłych praw gospodarczych. Szkoła zaś ścisła, również nie mogąc wyjść z tego dylematu, radzi sobie wszakże w ten sposób, że rozdziela całą naukę ekonomiczną na dwie części heterogeniczne: empiryczno - historyczną, zajmującą się konkretnem kształtowaniem się zjawisk narodowo-gospodarczych; w jej zakresie także uznają za możliwe li tylko opis i klasyfikacyę — oraz teoretyczną, która ma nam wyjaśnić typowe stosunki jednostek do dóbr ekonomicznych, ujmując stosunki te w ścisłe prawa, wyprowadzone dedukcyjnie z praw psychologii indywidualnej. P. K. nad całą tą trudnością przechodzi spokojnie do porządku dziennego, nie zaznaczywszy nawet jej istnienia, dlatego, iż uprościł sobie znakomicie zadanie. Naukę gospodarstwa narodowego rozumie on nie jako przyczynowe wyjaśnienie form ekonomicznego współżycia społeczeństw, jeno jako systematyczne ujęcie w pewne reguły motywów działalności ekonomicznej jednostek. Otóż motywy naszej wszelkiej działalności, a więc i ekonomicznej, są niezliczone. I p. K. zdaje sobie z tego sprawę. Lecz właśnie dlatego oświadcza,

[1]) Str. 8.

[1]) Str. 10. [2]) Str. 12. [3]) Str. 13.

iż ekonomię obchodzą tylko czysto ekonomiczne motywy.

Czyż istnieją jednak jakiekolwiek siły duchowe, któreby się przejawiały wyłącznie w działalności ekonomicznej ludzi? Nie sposób! Bo czy człowiek znajduje się na rynku, czy w gabinecie naukowym, czy w zgromadzeniu politycznem, pozostaje wciąż jeden i ten sam. Więc pod specyficznie ekonomicznymi motywami p. K. rozumie chyba nie podstawowe jakieś czynności psychiczne, jeno najogólniejsze formy dążeń naszych, stanowiących motywy ekonomicznej działalności ludzi. W takim razie wszakże z góry odbiera on sobie możność ustanowienia reguł stałych, dla wszelkich czasów i miejsc mających znaczenie. Oczywiście bowiem formy te zmieniać się muszą zależnie od ogólnego ustroju społecznego, od stanu kultury, od panowania tych czy innych instytucyj gospodarczych. W społeczeństwie wymiennem, w którem jest obliczona cała produkcya dla rynku, przeważającą formą motywów działalności ekonomicznej jednostek będzie niezaprzeczenie — chęć zyskownego spieniężenia płodów swej pracy, lub zyskownego nabycia wytworów cudzej działalności, w gospodarstwie zaś naturalnem — chęć jak najzupełniejszego zaspokojenia swych bezpośrednich potrzeb. Jest to więc już bardzo znaczne a dowolne zwężenie zakresu badań ekonomicznych do jednej jakiejś epoki, jednego ustroju społecznego. I *de facto* p. K. zajmuje się wyłącznie ustrojem kapitalistycznym. Co gorsza jednak, pozbawia on w ten sposób ekonomię całkowicie charakteru ścisłej nauki społecznej. Bo przecież jest jasnem, że „działalność gospodarcza,“ że gospodarcze „czyny realne“ i ich pobudki są zawsze tylko indywidualne. Społeczeństwo jest przecież organizacyą jednostek, wiążącą je w określone stałe stosunki, lecz nie jednolitym organizmem. Jednostki, wchodzące w jego skład, zachowują zupełną swą świadomość i, będąc członkami społeczeństwa, nie przestają przeto być indywiduami. Społeczeństwo więc, jako takie, nie wykonywa „realnych czynów,“ nie „działa,“ ani też nie ma pobudek do działania. Działają jednostki, spełniają zaś czynności społeczne, o ile przy działalności swej zachowują, utrwalają lub stwarzają stałe określone formy wzajemnych stosunków z resztą członków społeczeństwa, oczywiście stosunków psychicznych. Poprzestając więc w badaniach naszych na „czynach realnych“ i ich „pobudkach,“ tem samem zatracamy społeczny charakter zjawisk narodowo-gospodarczych, schodzimy na grunt gospodarstwa prywatnego, nienadającego się zupełnie do badań naukowych.

Nic też dziwnego, iż p. K. w swym „Zarysie“ dochodzi ostatecznie do wniosku, że dziś w zakresie gospodarczego życia narodów „niema organizacyi społecznej,“ lecz istnieje zbiór zróżniczkowanych interesów poszczególnych, objętych tylko wspólnością wzajemnej wymiany potrzeb.“

(D. n.).

Dr. Stanisław Grabski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Cezary Jellenta: *Dante Alighieri*. Życiorys. Warszawa. Bronisław Natanson. 1900.

I.

Gdybyśmy porównali niesłychanie modlitewne uwielbienie, którem otoczona jest pamięć Danta na Zachodzie, popularność tak niezmierną, że bibliograficzne jeno spisy wydań i przekładów jego dzieł i studyów nad życiem i twórczością florenckiego wieszcza zapełniają całe tomy, z tymi okruchami, cośmy do tego ogromu dorzucili — zdumielibyśmy się niemało, iż nasza cząstka jest tak nikła. Zdobyliśmy się, co prawda, na dwa całkowite przekłady *Boskiej komedyi*, a może wkrótce będziemy mieli i trzeci, lecz stanowczo nie posiadamy komentarzy, nie mamy klucza, któryby umożliwił nam wstęp do dzieł wielkiego Gibelina. O ile wiem, pisali u nas obszerniej o twórcy *Boskiej komedyi*: Kraszewski (praca przestarzała), Siemieński (raczej parafraza *Komedyi*, niż studyum), Edw. Grabowski („Dzieje lit. powszech.“ z ilustr., w t. 2-m), Gostomski. Koroną tych wszystkich prac są „Wieczory florenckie“ Klaczki (przekł z oryginału franc.). I tyle. A jednak Dante według jednych jest uważany za słup graniczny pomiędzy dwiema epokami, podług innych jest najwyższym i najdoskonalszym wyrazem ducha średnich wieków, a jego główne dzieło to poetycka *Summa* Tomasza z Akwinu. Dla Italii jest on twórcą języka i literatury narodowej. Budził i budzi wciąż ekstatyczne zachwyty bez granic, zapłodnił wyobraźnię całego szeregu poetów i artystów.. Wobec tego „Życiorys“ p. Jellenty, praca oparta na rozległem rozczytaniu się w specyalnych badaniach i uwzględniająca najnowsze z nich (zwłaszcza Krauza) jest nabytkiem bardzo pożądanym. Autor zresztą nie zrzeka się samodzielności, owszem, usiłuje otrząsnąć się z balastu sztucznych komentarzy, przez wieki gromadzonych, oddaje się chętnie wrażeniom bezpośrednim. Z książki tej nadto czytelnik może sobie wyrobić pojęcie o ogromie trudnych zagadnień, które tu przy dochodzeniach nastręczają się niemal na każdym kroku, a dotyczą nietylko szczegółów, nietylko znaczenia jakiegoś niejasnego ustępu, lecz i punktów najważniejszych, pozostających w najściślejszym stosunku ze zrozumieniem naczelnej idei i pobudki twórczej, zarówno w *Komedyi*, jak innych dziełach poety.

Praca p. Jellenty, będąc jednak pożyteczną, nie może być poczytywaną za dostateczny komentarz do utworów wieszcza florenckiego, gdyż nietylko jest w szczupłych ramach zamknięta, ale i pod innymi względami nie dorównywa ani szkicowi Edw Grabowskiego, ani „Wieczorom florenckim.“

Ślicznie autor mówi, przestrzegając czytelnika, że „w dziełach Florentczyka ma do czynienia z czemś w rodzaju jakiegoś starego, poetyckiego zakonu, którego wielka starożytność i domieszka symboliki starożytnej upoważniają poniekąd do najdziwniejszych tłomaczeń i przypisów“; ale sam rychło zapomina o tem równouprawnieniu różnych hypotez, i nieraz podając swój lub obcy domysł za pewnik niezbity, wyniośle się rozprawia z przeciwnikami, jakkolwiek i tych przecie należałoby „poniekąd“ usprawiedliwić. Ale autor ma na zawołanie parę dosadnych i olśniewających argumentów, wobec których pozostaje tylko skromnie ustąpić z drogi: *Dla profesorów zwyczajnych* jest to do pojęcia dość trudne“; lub dla krytyków, „*niewysuszonych na pergamin*,“ niema wątpliwości, że itd. Jakby pogardliwe kopnięcie było dowodem! Jak gdyby ktoś mógł rościć sobie prawo do monopolu wrażliwości na piękno i prawdę! Uwagi takie nasuwają się czytelnikowi już w pierwszym rozdziale („Portret“), tłumniej się cisną przy przeglądaniu drugiego. „Portret“ skreślony jest pięknie, bez wątpienia, lecz nie możemy nabrać pewności, iż jest prawdziwy. Czyż nie efektownym jedynie zwrotem stylowym jest takie np. skojarzenie: „*Oto skąd się bierze* rys nienawiści w obliczu Danta: dużo z kobietami przestawał, kochał i tęsknił, i w tej miłości była pieszczota i miękkość“ Albo czyż niezbyt ryzykownie postępuje sobie autor, czyniąc z poety wizyonera i lunatyka prawie? „Kto tyle życia spędził na krańcach fantazyi, w tym już przez to samo zacierają się zbyt wyraźne granice między jawą a urojeniem. Dla poety, jak Dante, granice owe *musiały wogóle być niezbyt dosadne*, a oponować mogą tylko „zwyczajni profesorowie.“ Czyż jednak z twierdzeniem tem nie staje w sprzeczności wielka wypukłość rzeźb poety, wielka *określoność* stworzonych przezeń kształtów? Upodobania zaś w alegoryi, symbolu, wizyi, było ogólnem znamieniem pisarzów średniowiecznych. To nie halucynacye, to poprostu pewien kształt literacki.

Obszerniejszego pola do uwag dostarczają ustępy, poświęcone Beatryczy. Kto w jej rzeczywistość nie wierzy, lub kto się zachowuje choćby tylko nieufnie wobec miłosnych uniesień ucznia trubadurów prowansalskich, jest dla p. Jellenty „krytykiem wysuszonym na pergamin,“ albowiem autor w szeregu sonetów „Nowego życia“ spostrzega „jasny ogień prawdziwej ludzkiej miłości,“ wyczuł bicie serca poety. Prawdziwość więc „uroczej dziewicy“ nie może być podawana w podejrzenie; nie była ona jednak donną Portinari, i nie wychodziła za mąż za Szymona Bardi, gdyż w skargach i trenach Danta portret zmarłej ukazuje się w aureoli poezyi tak czystej i dziewiczej, że niepodobna zastosować go do kobiety zamężnej. Domysły domysłami poparte. Nie są one nawet właściwością autora, a jednak zabrania niewierzyć im. Lecz jądro zagadnienia tkwi właściwie nie w cielesności Beatryczy i jej imieniu, ale w pytaniu, czy w *Vita nuova* istotnie pozostał ślad miłości silnej i głębokiej, czy istotnie Dante otrzymał „krwawą ranę serca,“ z której zrodził się „*niewygasający* nastrój marzeń i goryczy“? Czy też może, jak to utrzymują dość zasadnie inni, ta lub owa piękność, jak Dulcinea z Tobozo, była jeno pozorem do układania sonetów, balad itp.? Klaczko zbyt „po gospodarsku“ załatwia się z danemi literatury dantejskiej. Niech i tak będzie. Ale ma on tę wielką przewagę nad autorem „Życiorysu,“ iż miłosną poezyę Danta umieszcza na tle historycznem. Te jej właściwości, które dla p. Jellenty są znamionami osobistemi poety, są przecież ogólnym rysem szkoły, do której należał Dante. Względem tego punktu panuje zgoda powszechna. Idealne, nadziemskie barwy, w których się ukazuje Beatrycze, przeistoczenie pierwiastku ziemskiego w nadzmysłowy i mistyczny, spotykamy przecież u innych poetów toskańskich, jak Guido Guinicelli, Guido Cavalcanti, Cino da Pistoia i in Mimo tej idealizacyi nie została zerwana łączność pomiędzy liryką śpiewaków toskańskich a „gay sabor“ (wesołą nauką) ich mistrzów, trubadurów prowansalskich. I we Włoszech poezya miłosna była tak samo zabawką, jak niezbyt dawno za Alpami i w Sycylii. Wśród wielu znalazł się tylko jeden, zapomniany, Cecco Angiolieri z Sienny, o którym powiedziano, że na cześć swej kochanki wydobył z piersi dźwięki namiętniejsze i bardziej wstrząsające, niż wszystko, co złożono u stóp Laury czy Beatryczy (M. Monnier, Renaissance). Co do Danta, ktoś zauważył, że przepisy kodeksu miłosnego (ułożył go po łacinie Raynouard) nigdy przez nikogo nie były tak ściśle zachowane, jak właśnie przez niego w *Vita nuova*. P. Jell. wszakże Dantowi wyznacza stanowisko całkiem odosobnione, a historyczną stronę zagadnienia zbywa lekceważącą wzmianką. „Wiemy wprawdzie, że w owych czasach miłości trubadurów nawet tacy, jak Petrarka, umieli pisać tomy sonetów miłosnych do matek siedmiorga i ośmiorga dzieci; ale między śpiewakiem Laury i śpiewakiem Beatryczy różnica jest tak wielka, jak między chłodnym, konwencyonalnym, pochleb-

czym kawalerem a płomienną, wybuchową, w złem jak dobrem skrajną, gwałtowną naturą artysty." I to ma starczyć za dowód i przeciwwagę twierdzeniom odmiennym! Domysły domysłami poparte! Na podstawie wynurzeń miłosnych uznać naturę za gwałtowną, a stąd znowu wnioskować o prawdziwości uczucia — toć błędne koło! Lecz sam autor niepostrzeżenie wikła się w sprzeczności.

Pisząc zarys popularny, p. Jell. musiał dążyć do tego, by na odpowiedniem tle w całej swej wielkości stanęła przed nami postać wieszcza. Autor jednak utrudnia sobie zadanie, nie licząc się zgoła z psychologią słuchacza. W pracy jego mamy bardzo ożywiony dyalog, ale nie z czytelnikiem. Nosi ona charakter wybitnie polemiczny. Autor walczy po kolei lub jednocześnie z Klaczką, Wegelim, Scartazzinim i wielu innymi; nawet kiedy od siebie przemawia, wyczuwać się daje, że jakby się przysłuchiwał słowom przeciwnika niewidzialnego, toczył z nim spór, odpierał zarzuty lub zapobiegał ich możliwości. Trzeba znać w ogólnych przynajmniej zarysach krzyżujące się wśród badaczów zdania co do tego lub owego punktu, by wykład p. Jellenty nie zamienił się dla czytelnika w szereg różnych „nie" lub twierdzącego „tak," ku któremu się zmierza. „Nacóż szukać — mówi autor o *Boskiej komedyi* — *nacóż szukać impulsu* do odrodzonej, świeżej twórczości, kiedy go mamy tak blizko, w żądłach realnego a kipiącego życia?. Geniusz... ujął w jedną całość wszystkie ukochane i nienawistne mu osoby i wydarzenia. *Prawda*, że w pieśniach brzmi muzyka najczęściej seraficzna, harmonia cudowna wniebowzięcia, albo też głos archanioła, zjawiającego się w łunach synajskich z płomiennym mieczem w dłoni i wezwaniem grzesznika na sąd ostateczny, a więc w obu wypadkach nadziemska; *prawda*, że nawet nauki moralne i prawdy astronomiczne śpiewane są tam głosem natchnionym z wyżyn psalmisty lub proroka; *ale to jest jedynie* zasadnicza, wrodzona tonacya dantejskiej wielkości i zarazem znamienny a uszlachetniony przez Danta styl epoki, *lecz nie* rozmyślna i na czoło wyniesiona pobożność." Otóż cały łańcuch przyzwoleń i przeczeń, a tymczasem autor rozprawił się tylko z jedną hypotezą, że *Komedya* jest objawem nawrócenia, jest pieśnią grzesznika, wracającego z błędnych ścieżek na łono prawowierności; wszystkie inne wzmianki o cudownej harmonii wniebowzięcia, o prawdach etycznych, o encyklopedyi świata średniowiecznego wówczas tylko staną się zrozumiałe, jeśli przypomnimy sobie, że różni badacze w dociekaniach swych przyznawali miejsce naczelne to apoteozie katolicyzmu w *Boskiej komedyi*, to upomnieniom moralisty, lub znowu uczoności. „*A zatem* — prowadzi autor rzecz swą dalej — Dante chciał stworzyć epopeę osobisto-powszechną." Czyż istotnie z tych przeczeń jakieś „zatem" wypływa? A co do „żądeł realnego a kipiącego życia," co do „ukochanych i nienawistnych osób i wydarzeń" — jeżeli są wymienione, w ogólnej perspektywie stają się cieniami zaledwie; porywa je „kipiący" nurt polemiczny.

(D. n.).

A. Drogoszewski.

ZE SZTUKI.

Pierwszy doroczny Salon warszawski. — Salon Krywulta

Szumnie utytułowany i jeszcze szumniejszą wydęty reklamą Pierwszy Doroczny Salon Warszawski zrobił *fiasco*. Pod względem ubóstwa nie ustępuje nudnym, codziennym wystawom Zachęty, a może nawet je przewyższa. Na tę jego nędzę złożyły się głównie trzy przyczyny. Po pierwsze — uchwała, dotycząca urządzenia Salonu, zapadła lub ogłoszona była zapóźno i dała w ten sposób artystom mało czasu na przygotowania, po drugie — komisya urządzająca wpadła na fatalny pomysł rozsyłania zaproszeń, które uwalniały pewne osobistości i dzieła od kompetencyi *jury d'admission*, chociażby dzieła te były zwykłemi malowankami. Wreszcie sama „komisya przyjmująca" (*jury d'admission*) nie zrozumiała dokładnie swych obowiązków i, jak wskazują rezultaty, kierowała się prawdopodobnie w czynnościach swych względami, niemającymi nic wspólnego ze sztuką. Bo i jakże inaczej wytłomaczyć sobie obecność na wystawie takich szyldów tandeciarskich z ulicy Świętokrzyzkiej, jak portrety (?!) Walfisza, Millera, Piątkowskiego i innych, takich kucharek, poprzebieranych za anioły — Biskego, humorystyki historycznej Głębockiego, mydlanej chatki na tle mydlanych niebios i mydlanej trawki Stankiewiczówny, takiego szkicu (czy *kiczu?*) Maszyńskiego, takiej kalkomanii Wiśniowskiego itd. itd. A może wymieniłem tu jakąś firmę zaproszoną? W takim razie proszę *jury d'admission* o przebaczenie... Jedno z dwojga: albo nie należało tworzyć żednej komisyi kwalifikującej, lecz przyjmować na wystawę wszelkie śmiecie malowane, rysowane i rzeźbione, albo też — trzeba było stosować w ocenie miarę krytyczną i artystyczną. Tej prostej prawdy panowie artyści widocznie nie uznają...

Błądząc po wystawie, jesteśmy w prawdziwym kłopocie, przed czem się zatrzymać. Z po za ram wyglądają nieciekawe kawałki pokrytego farbą płotna. Stare motywy, ograne melodye. Nie o nowość *tematu* chodzi. Niechby tylko ten stary temat był na nowo odczuty, na nowo przeżyty. Niechby obraz był nietylko malowany, lecz tworzony; — i to nietylko tymi środkami technicznymi, które w ręce artysty wkłada sztuka, lecz jeszcze wijącą się w bólach tworzenia duszą, szarpiącą się w locie myślą, bijącem krwią sercem. Niechby ten obraz nietylko drażnił wzrok, lecz jeszcze porywał jakąś głębią; niechby budził ten dreszcz, z jakim go tworzył artysta. Ale pono te wszystkie bóle i miotania się są teraz do malowania „obrazków" niepotrzebne. W dobie szalonego rozwoju przemysłu fabrycznego i fabrycznej tandety sztuka staje się także przemysłem. Artysta przestał być kapłanem, stał się wytwórcą, pilnie śledzącym potrzeby rynku. A gdzież skrzydła orle, natchnienia Konradowe, dreszczów i widzeń proroczych pełne wizye?... Czyżby doprawdy dla artystów - malarzy warszawskich czasy się tak zmieniły?...

Nie, nie dla wszystkich. Są tacy, którzy prawdy szukają w naturze, kolana zginają wobec jej dziwów w zachwycie i przed zjawiskami jej stają z wiecznem pytaniem w duszy: *wo fass ich dich unendliche Natur?* I tacy są, którzy wizye swoje, z bólem w duszy własnej poczęte, odtworzyć i ucieleśnić pragną. Do pierwszych należy Henryk Weyssenhof, do drugich — Adolf Edward Herstein. „Śnieg" Weyssenhofa, pomimo pewnej jednostajności fioletowych cieniów, pomimo ciężkości i bezpowietrzności nieba, jest dziełem wielkiego artyzmu. Iskrzący się w słońcu, żyje on na płotnie, jak żyje również pędzący woły chłop, jak *żyją* zeschłe, po przez rozpadliny sterczące badyle. Może niema w obrazie tym poezyi i nastroju, może wirtuozostwo techniki przysłoniło nieco siłę i rozmach, lecz jest natomiast wielkie odczucie prawdy, sterczącej za nastrój i poezyę.

A oto wizya bolesna, upiorna, straszna, która na krawędzi łoża w noc czarną siada i dłoń swą ciężką na zmęczonej piersi kładzie. Wizya zagadki, jak życie odwiecznej, wizya Śmierci. Nie kościotrup to nagi i wstrętny, wykrzywiający szczęki w uśmiechu ironii piekielnej, nie wybawicielka to cicha, kojąca w objęciach swych wszystkie cierpienia i wszystkie bóle. To siła ogromna, żywiołowa a tajemnicza, tą tajemniczością straszna i niezwyciężona. Gdy raz na łożu człowieka siądzie i dłoń swą ciężką na dłoni jego położy, zegar życia bić zaczyna wielką godzinę, ktora jest ostatnią godziną, słyszaną na ziemi. Nic jej nie podniesie, nic nie odtrąci, nic nie rozwieje w nicość, bo ona jest panem wszechwładnym, bo ona jest kresem wszelkiej mocy i potęgi. Mroki tajemnicze otaczają tego gościa z światów nieznanych, i nikt nie widział nigdy jego groznego oblicza. Straszny to gość, bo przychodzi znienacka, nieproszony i nieoczekiwany, głuchy na modły i zaklęcia, nieczuły i niezwyciężony. To wszystko z dziwną prawdą i prostotą mówi „Intruz" Hersteina. Wszystko tu jasne i zrozumiałe, niema tu żadnych sztuczek, żadnej ciemnej, nieokreślonej symbolistyki. W tak prosty sposób do duszy przemawiać potrafi tylko szczera a wielka dusza. Taka jest ideowa strona dzieła, a techniczna? Rysunek bez zarzutu, pełen wyrazu i charakteru, skala kolorytu bogata i obszerna; kompozycya zwięzła i logiczna. Jedno tylko: artysta zbyt silnie „puszczając w ton" swój obraz, zapomniał, że wzrok ciała ma inne wymagania, niż wzrok duszy, że dla oczu cielesnych istnieje w roztapianiu kształtów i linij pewien kres, po za którym zatracać się zaczyna możność dostrzegania. Jest to błąd, którego powinien się wystrzegać.

Z reszty dzieł niewiele warto wymieniać. Jest tu wnętrze (stodoły czy chaty) Kędzierskiego, pełne wesołych świateł słonecznych i cieni przejrzystych, jest pełen wyrazu lecz kolorystycznie dość ubogi portret Zdzisława Jasińskiego, jest ładne podnóże skał z prześlicznym „pawiookim" skrawkiem jeziora Stankiewiczówny, są ładne pejzaże słoneczny i nocny Żukowskiego, „Noc" Trzebińskiego z dobremi światłami na deszczem polanych chodnikach, błyskająca płomieniami latarni, lecz przykryta ciężką kopułą bezpowietrznego nieba, ścieśniona krzywemi ścianami domów i kościoła; jest ładna akwarela Masłowskiego z pyszną architekturą gmachów Kaźmierzowskich w głębi i z ruchem jarmarcznym na przedzie; jest „Dolce far niente" Pilichowskiego z doskonałym w wyrazie i nastroju robotnikiem, śpiącym na schodach fabryki, lecz wadliwe w kompozycyi i za ubogie w kolorze. Dalej żywy, poprawny w rysunku, świeży w kolorze portret (a może studyum?) Pawła Rosena, wreszcie „Las" czerwony ze zbłąkanemi dziewczynkami Kaufmana, może ciekawy, jako pomysł, lecz pozbawiony wszelkiego gruntu rzeczywistego, na którym musi się opierać każda fantazya... O reszcie — lepiej nie mówić...

Po raz pierwszy chyba obok „obrazów olejnych" na wystawie odważył się zająć miejsce drzeworyt. Zduszony przez ohydną, ale natomiast tanią „trawionkę," pędzi on u nas żywot bardzo ciężki. Nie zraża to jednak artystów; bo artystą jest Gorazdowski, z miłością i odczuciem odtwarzający Podkowińskiego, artystą jest Klein, którego kopie „Modlitwy" Brandta oraz „Hani" Siestrzeńcewicza są w swoim rodzaju wzorami drzeworytu.

Rzeźba, jak to zwykle u nas, aż płacze jakościowem i ilościowem ubóstwem. Grupa Ostrowskiego odrzyna się na tem tle jakiemś cichem i wyrazu pełnem skupieniem twórczem. Zdaje się, że w Ostrowskim przybywa rzeźbie naszej świeża a wartościowa siła. Po za tem mamy do zanotowania oryginalną w pomyśle i pełną nastroju „Jesień" Jagmina i silne w wyrazie „Cierpienie" Jasińskiego. Obydwa nazwiska nowe

W Salonie Krywulta otwarto wystawę krajobrazów Eugeniusza Wrzeszcza. Próżnobyśmy szukali tu prób jakichkolwiek wydobycia na wierzch *duszy* w przyrodzie. Nie o to chodzi Wrzeszczowi. Kocha się w skrawkach natury, jako w pewnych cackach jubilerskich, które ona rzeźbi i maluje z rozmaitością i bogactwem ogromnem. Wrzeszcz lubi malować pnie stare lub głazy mchem porosłe, a w słońcu połyskiem metalu świecące, lubi kwiaty—te symfonie barw i kształtów delikatnych, lubi zieleń soczystą trawy świeżej, lubi stare drzewa samotne o dziwnie poskręcanych konarach, młode laski sosnowe, zwłaszcza ich podnóża, rude od zeschłego igliwia, na którem świeci gdzieniegdzie świeży aksamit mchów... Te wszystkie motywy maluje Wrzeszcz dłonią skromnego a rozmiłowanego w naturze i sztuce artysty. I dlatego pewnie jego mchy, głazy, pnie i kamienie żyją...

P. Krywult wpadł na szczęśliwy pomysł urządzenia obok wystawy salonu do czytania, w którym można znaleźć wydawnictwa artystyczne nasze i zagraniczne. Jest to źródło informacyjne dla tych, którzy zajmują się i interesują sztuką. Wstęp bez wszelkiej opłaty osobnej. Jest to jeszcze jeden dowód tej ruchliwości, jaką Salon Krywulta rozwinął w ostatnich czasach. Bodajby tak dalej...

Michał Mutermilch.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZYCZYNEK DO KWESTYI ROLNEJ.

III.

„Nie tyle ta lub owa przyczyna, wyraźnie określona — prawa spadkowe, niski stan techniki, złe narzędzia—ile raczej cały rozwój społeczeństwa mieszczańskiego, ogólny postęp kapitalizmu wywołuje rozwód między własnością rolną a pracą i podkopuje własność chłopską.“ Upadek przemysłu domowego i dodatkowego w rolnictwie, zniesienie służebności, własności gminnej i lasów dominialnych, wzmocnienie kultury rolnej, spowodowane wskutek potrzeb wzrastającej ludności przemysłowej i nie-rolniczej, delokalizacya rynków, napływ zbóż i innych produktów rolnictwa zamorskiego, spowodowany również wzrostem ludności przemysłowej i umożliwiony dzięki rozwojowi przemysłu i handlu transportowego; podniesienie się cen ziemi, zwłaszcza w okolicach położonych blisko miast — wszystkie te objawy są tylko skutkiem rozwoju kapitału, społecznego panowania mieszczaństwa i wszystkie one są również czynnikami upadku starych form własności rolnej.

Własność chłopska, wywłaszczona z dóbr gminnych, pozbawiona drobnego przemysłu, który stanowił dawniej dodatkowo źródło dochodów w gospodarstwie rodzinnem, zamieniona na przedsiębiorstwo rolne, wytwarzające przeważnie wartości wymienne — przeciwstawia tylko słaby opór czynnikom, grożącym jej wywłaszczeniem.

Wprawdzie w Belgii, jak i w innych krajach przedsięwzięto starania celem naprawy złego stanu za pomocą zmian w prawach spadkowych, ulg w ciężarach fiskalnych oraz organizacyi kredytu rolnego. Tym wreszcie, którzy przewidują upadek własności chłopskiej, przeciwstawiają, że kapitalizm sam leczy rany, które zadaje własności drobnej, gdyż na miejsce dawnego domowego przemysłu wiejskiego powołuje do życia gałęzie potężniejsze: cukrownictwo, gorzelnictwo, mleczarstwo i inne najrozmaitsze fabryki, które w coraz większej liczbie powstają na wsi. Do tego dodają rozkwit syndykatów i lig rolnych, dostarczających włościanom nawozów, nasion, maszyn rolniczych itp. środków, umożliwiających im walkę przeciw kulturze kapitalistycznej.

Autor wszakże nie myśli zaprzeczać, że działanie tych rozmaitych czynników może zwolnić, a nawet zmienić wsteczną ewolucyę własności chłopskiej *); zwraca jednak uwagę, że zmiana praw spadkowych rozbije się o zwyczaje równościowe ludności rolnej (co widać i w innych krajach, np. u nas w Królestwie), że ulgi w ciężarach fiskalnych, jeżeli dadzą się przeprowadzić, muszą być zastosowane do wszystkich rolników zarówno małych, jak i wielkich, że organizacya kredytu rolnego nie stanowi wyłącznej korzyści jednej klasy właścicieli. Z drugiej strony, jeżeli prawdą jest, że wielki przemysł rozpowszechnia się po wsiach lub zajmuje w miastach coraz większą liczbę robotników ze wsi, to nowy ten stan rzeczy, daleki od wzmocnienia własności chłopskiej, dąży raczej do jej usunięcia przez rozdrobnienie: chłop-właściciel, wytwarzający dodatkowo towar przemysłowy, ustępuje miejsca najemnikowi przemysłu, uprawiającemu w chwilach wolnych parcelę, której jest czasami właścicielem, najczęściej dzierżawcą. „W każdym razie to tylko jest pewnem, że *od czasu przewrotu przemysłowego rozwód między własnością rolną a pracą na roli objawiał się zawsze w coraz większych rozmiarach.*“

Pomijając własność publiczną, było w r. 1834—45 posiadłości wielkich (100 hekt. i więcej) 1,787, liczących razem 392,363 h., czyli 13,3% powierzchni kadastralnej. W r. 1898—99 było ich 1,749, zajmujących 397,130 h., czyli 13,5% obszaru kadastralnego. Postęp własności wielkiej na pozór jest nieznaczny — zaledwie 5,000 hektarów. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę powiększenie się cen ziemi, zmniejszenie się obszaru rolnego wskutek rozwoju miast i ognisk przemysłowych, rozwój parceli; z drugiej strony, jeżeli zważymy, że posiadłości mniejsze, położone w pobliżu miast, mają takie samo znaczenie, co i wielkie, dzięki wysokiej swej wartości — to zobaczymy, że wielka posiadłość rolna, pomimo stosunkowo znacznego przyrostu, nabiera coraz donioślejszego znaczenia.

Zapewne, rozwój produkcyi dzisiejszej wyłania masę czynników, działających w kierunku rozdrobnienia własności wielkiej i jeszcze bardziej uprawy wielkiej. Produkcya ta opanowywa własność feodalną i dziesiątkuje ją. I w miarę rozwoju uprawy intensywnej, w miarę jak wartość ziemi zależy bardziej od jej położenia, aniżeli od wielkości jej powierzchni, tak że w niektórych gęsto zaludnionych okręgach jeden hektar uprawy nabiera wartości setek hektarów ziemi piaszczystej lub błotnej — wielka własność z konieczności dąży do zmiejszania się. Oznacza to wszakże nie postęp własności małej, lecz przeciwnie ujarzmienie jej przez kapitał przemysłowy i rolny. Jeżeli dla właścicieli korzystniej jest, zamiast prowadzić wielkie gospodarstwo rolne, rozparcelować ziemię i oddać ją w dzierżawę najemnikom lub drobnym kapitalistom, to dlatego tylko, że w ten sposób korzystniej operują swą własnością, to jest — lepiej panują nad pracą drobnych wytwórców i najemników.

Miasta — powiada Vandervelde — były zawsze owym czynnym żywiołem, który sprowadzał przewroty w dziedzinie własności i uprawy rolnej. Wieś byłaby dotąd pod panowaniem *ancien regime*, gdyby mieszczaństwo nie skrępowało *seigneur'ów*, nie uwolniło chłopów od ciężarów feodalnych. Mieszczaństwo sprzedało dobra komunalne, wyniszczyło lasy dominialne i przez współzawodnictwo pracy mechanicznej zniszczyło masę gałęzi przemysłu domowego, który niegdyś tak kwitnął w tym kraju.

Jeżeli 45,000 robotników belgijskich z Hainaut i Flandryi, wyrwanych z ziemi ojczystej, udaje się co rok na 6 miesięcy do Francyi północnej lub do W. Ks. Luksemburskiego, to dlatego, że fabryki zabiły dawny przemysł lniany. Jeżeli fermerzy z Beance i Brie skarżą się wielkim głosem na brak robotników i ściągać muszą do siebie robotników flamandzkich, to dlatego, że miasta wyludniły wsie francuskie lub zamieniły większą część robotników rolnych na przemysłowych.

W miarę, jak z rozwojem kapitalizmu wzrastają okręgi przemysłowe i miejskie, zmniejsza się znaczenie klas rolnych; obszar uprawy uszczupla się, coraz większa łatwość komunikacyj wciąga najmniejsze wioski w wir rynku międzynarodowego i poddaje ją działaniu praw współzawodnictwa wszechświatowego.

Z miast wypływają przesilenia śmiertelne dla własności chłopskiej; do miasta spływają z czterech stron świata produkty całej ziemi. I teraz, kiedy ludność miejska otrzymuje swe zboże z krajów nowych, za jej to wpływem, z powodu coraz większego jej zapotrzebowania na masło, mięso, cukier, owoce, jarzyny i alkohol następuje przewrót w kulturze rolnej, zmieniają się narzędzia i wsie pokrywają się parowemi fabrykami wyrobów mleczarskich, gorzelniami, cukrowniami—przedsiębiorstwami kapitalistycznemi, względem których włościanie okoliczni stają się dostawcami zależnymi i poddanymi.

W tych gałęziach produkcyi, tak ściśle związanych z pracą rolną, skupienie przemysłowe już teraz jest bardzo wzmożone. Wielkie fabryki cukru wyszły odrazu w zbroi wielkokapitalistycznej z łona świata kapitalistycznego; olbrzymie gorzelnie, pomimo przywilejów fiskalnych na korzyść drobnych dystylatorów, już bliskie są ostatecznego zgniecenia tych ostatnich; jedyne tylko drobne zakłady produkcyi mleczarskiej, połączone w kooperacyę wytwórczą, walczą dość skutecznie z zakładami kapitalistycznymi; „obawiać się jednak należy, że większość z nich, jak to już się stało z tylu innemi kooperacyami wytwórczemi, zamieni się na wielkie przedsiębiorstwa kapitalistyczne, dzięki właśnie swemu powodzeniu.“

Wprowadzenie kultury racyonalnej do rolnictwa —powiada Marx — jest warunkiem niezbędnym do jego uspołecznienia, i z drugiej strony doprowadzenie do absurdu własności rolnej; takie są dwie wielkie usługi, oddane przez metodę produkcyi dzisiejszej. Jak za każdy inny postęp historyczny, kazała zapłacić za to pauperyzacyą wytwórców właściwych.

W kraju tak przemysłowym, jak Belgia, własność włościańska stanowi już tylko drobną cząstkę obszaru rolnego. Dwie trzecie ziemi nie należą do tych, którzy ją uprawiają. Dzięki temu pasorzytna rola zjadaczy renty staje się odrazu widoczną. I w miarę, jak kapitał zdobywa rolnictwo, wprowadzając naukowe metody agronomii na miejsce dawnej rutyny, postęp w kierunku społecznej formy produkcyi staje się coraz możliwszym.

A. Warski.

*) W innem miejscu (p. *Rapport au Congres de Varemme sur la Petite Propriete rurale*, str. 359 etc. Paris, Giard et Briere, 1898) autor dowodzi, że kooperatywy rolne w sferze własności drobnej stanowią własność lub mogą stanowić przejście do nowej, wyższej formy własności. Pod tym względem stoi na odmiennem stanowisku, aniżeli Kautsky, który dowodzi, że zrzeszenie drobnych wytwórców rolnych prowadzi do tych samych wyników, co i inne kongregacye wytwórcze, mianowicie do kapitalizmu. Dla lepszego zrozumienia stanowiska Vandervelde'a nie należy zapominać, że *prudonizm* pozostawił jeszcze dość głębokie ślady na całym ruchu belgijskim, którego Vandervelde jest przewódcą najbardziej utalentowanym.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Poznaniu tworzy się związek polski, obejmujący wszystkie prowincye pruskie, przez Polaków zamieszkałe, mający na celu obronę narodowości i zrównoważenie działalności związku hakatystów.

Finlandya. *Kijewlanin* donosi, iż generał-gubernator kijowski zażądał od władz wykazu osób pochodzących z Finlandyi, a zajmujących posady rządowe w instytucyach miejscowych. Istnieje bowiem zamiar przeniesienia ich na służbę do Finlandyi po wprowadzeniu języka rosyjskiego do tamtejszych instytucyj państwowych.

— W sprawie o zaburzenia w Helsingforze d. 18 lutego r. b., sąd skazał Arnę, Sonkę, Andersena, Biodego i Malmstrena na grzywny od 75 do 100 marek i na zapłacenie kosztów sądowych.

H. K. T. We Wrześni w W. Ks. Poznańskiem, w miejscowej szkole katolickiej wynikły zaburzenia z powodu, że uczniowie nie chcieli słuchać wykładu religii w języku niemieckim. Za karę zamknięto ich w „kozie," a oporniejszych ukarano nawet chłostą. Dowiedziawszy się o tem zebrana rzesza ludu, krzycząc, hałasując i rzucając kamieniami, usiłowała dostać się do szkoły. Wyłamano drzwi, gdy zjawiła się policya i zmusiła zebranych do rozejścia się.

Z Galicyi. Policya lwowska zabroniła młodzieży wyższych zakładów naukowych zebrania się na wiec w sprawie niesienia pomocy kolegom z W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich.

— We wsi Monasterzyskach hrabia Krasicki zabronił chłopom używania pastwiska, za które dawniej odrabiali bezpłatnie kilka dni w czasie żniwa. Gdy chłopi wypędzili bydło, służba dworska i żandarmi stanęli w obronie praw hrabiego. Przyszło do krwawego starcia, trzech chłopów padło na miejscu, czterech raniono.

Wystawa. W 700-ną rocznicę założenia miasta Rygi, d. 1 czerwca b. r., otwarta będzie wystawa przemysłowo rzemieślnicza.

Zdrowie publiczne. Departament lekarski przy ministeryum spraw wewnętrznych zezwolił na otwarcie w Warszawie ośmiu nowych aptek. Podań wniesiono 65.

— Przy tymże departamencie utworzono osobny wydział t. zw. „epidemiczny," którego głównem zadaniem ma być zapobieganie sprowadzeniu i walka z cholerą, dżumą i żółtą febrą.

Prasa. Minister spraw wewnętrznych nakazał wstrzymać wydawnictwo gazety *Nowoje Wremia* na tydzień za naruszenie, z powodu zaburzeń robotniczych, ogłoszonych redakcyom wydawnictw peryodycznych rozporządzeń z d. 8 czerwca 1896 r. i d. 4 stycznia 1897 r.

Konkurs. Ze 129 prac, nadesłanych na konkurs, ogłoszony przez Towarzystwo akcyjne zakładów ceramicznych p. f. „Dziewulski i Lange," sąd konkursowy odznaczył nagrodami następujące: pod godłem „Giewont," budowniczego A. Porczyńskiego (nagr. 400 rb.); „Zakopane," pp. A. Porczyńskiego i W. Dietricha (nagr. 250 rb.); „Kółko z ośrodkiem czerwonym," p. Wł. Stolcmana (nagr. 150 rb.); „Modrak zakopiański," p. G. Trzcińskiego, studenta politechniki (nagr. 100 rb.) i projekt pod godłem „Komfort," do którego nie dołączono nazwiska w zapieczętowanej kopercie (nagr. 100 rb.). Po za tem sąd konkursowy uchwalił przyznać nagrodę dodatkową w sumie 50 rb. autorowi projektu „Motywy kosowskie."

Ruch kobiecy. Ministeryum oświaty w Wiedniu zawiadomiło władze szkolne, iż na mocy rozporządzenia w świadectwach dojrzałości gimnazistek winno być zamieszczone pozwolenie uczęszczania do uniwersytetu. Rozporządzenie to stosuje się tylko do uczenic szkół miejscowych.

— Pani Stanisława Joske, nauczycielka rysunków w gimnazyum IV i progimnazyum w Warszawie, otrzymała zaszczytną pochwałę na ostatniej konkursowej wystawie petersburskiej Akademii sztuk pięknych za wzorowo prowadzony kurs rysunków.

— Obie Izby w Chrystyanii przyjęły w ostatniem czytaniu ustawę, przyznającą prawo głosowania na wszystkich wyborach kobietom, których dochód wynosi najmniej 300 koron we wsiach, a podatek przez nie płacony najmniej 300 koron w miastach, oraz tym, których mężowie posiadają takiż dochód i płacą takież podatki.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Bielskiemu w Częstochowie. Życzeniu Sz. Pana postaramy się zadość uczynić w żądanych odstępach czasu.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Мая 1901 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.